

Punktowanie studiów wyższych -str. 4-5

WANDA  
rockowy  
pająk

Mówi Miss Polonia Natura '84

-str. 11

-str. 12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

PL ISSN 0137-7108 Nr indeksu 36251

# Kamena

NR 19 (612)

9 - 22 września 1984

CENA 10 ZŁ

Wyróżnienie w konkursie „Kamena” na reportaż

## W IMIENIU NĘDZY

Michał Mońko

**N**AD barem „Jutrzenka” we wsi Nędza, która ciągnie się wzdłuż starej drogi do promu na Odrze, od trzech godzin obraduje Rada Nadzorcza miejscowego Oddziału Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Obrady nie są łatwe, chwilami dochodzi do kłótni, wzajemnych oskarżeń.

Od kilku minut głos ma Aniela Dudek, przewodnicząca Koła Gospodyń Wiejskich, kandydatka na radną do Gminnej Rady Narodowej. — Zeszłego tygodnia — mówi przewodnicząca Dudek — doszło do tego, że do sklepu pani Agnieszki Wycisk przywieźli zepsute mięso z rzeźni w Jajkowicach...

Wyzywające spojrzenie tam, gdzie siedzą członkowie Zarządu Spółdzielni.

— To się nie powtórzy — przyrzeka Tadeusz Wójcik, dyrektor Oddziału Gminnej Spółdzielni w Nędzy. — Od przyszłego tygodnia będziemy przywozić mięso z rzeźni w Raciborzu.

Powątpiewanie sklepowej Elfydy Cisz. — Czy to coś da?

— Muchy się pojawiły — podpowiada sklepowa Agnieszka Wycisk. — A zamrażarek nie ma.



Rys. Józef Tarłowski

— Sprowadzimy wentylatory, które odstraszą muchy — mówi dyrektor Wójcik. — A mięso niech leży na ladzie. Żeby ludzie nie mówili, że w takim Rudniku za Odrą to można dostać że-

berka, a w Nędzy pod sklepem — to można tylko żeberka polamać.

Dokończenie na str. 8—9

## Operacja dukielska 1944

Była to największa operacja górską w II wojnie światowej, „Encyklopedia II wojny światowej”.

li każdy dzień walk pociągał za sobą stratę ponad tysiąca żołnierzy! Dodajmy około 70 tys. strat Wehrmachtu,

**P**OD nazwą operacja dukielska (używane są też określenia: dukielsko-karpacka i dukielsko-preszowska) mieszczą się zaczepne działania 38 Armii Czerwonej (Frontu Ukraińskiego), trwające od 8 września do 30 listopada 1944 r. po południkowej osi długości 70 km i w pasie szerokości 12—17 km: od masywu Suchej Góry (wypiętrzenie Pogórza Karpackiego o 10 km na północ od Krosna) poprzez Krosno, Duklę, Tyliawę do granicy państwa za Barwinkiem i dalej po południowych stokach Karpat nad Ondawę w Słowacji. Operacja trwała 84 dni, z tego 29 dni na ziemiach polskich, a straty atakujących wojsk wyniosły około 90 tys. poległych, rannych i zaginionych, czy-

by otrzymać liczbę ponad 160 tys. ofiar tych zmagani.

Ow bilans nasuwa refleksję: dlaczego zdecydowano się na przedsięwzięcie strategiczne okupione taką hekatombą? Rozpatrzmy motywacje i przyczyny podjęcia operacji.

W kontekście najazdu niemieckiego na Czechosłowację, 14 marca 1939 r.

sejm słowacki ogłosił niepodległość, a już w cztery dni później Słowacja zawarła układ (tzw. pakt Durčanský-Ribbentrop), określający „strefę interesów” Wehrmachtu po rzece Wag. 23 sierpnia rozszerzony na całe teryto-

nostek drugorzutowych, do walk wrześniowych 1939 r.

Polityka wewnętrzna rządu Tiso (postępujące zaangażowanie Słowacji po stronie III Rzeszy) były przestankami powstania legalnej opozycji oraz

## Góry we krwi

Mieczysław Wieliczko

rium Słowacji. Drugiego układu, o charakterze gospodarczym, rząd nie ujawnił narodowi, bowiem określał on zasady kolonialnej wręcz zależności „niepodległej” Słowacji od III Rzeszy. Stąd też terytorium słowackie posłużyło do koncentracji części GA „Süd” Wehrmachtu do ataku na Polskę i wprowadzenia tych wojsk, jako jed-

konspiracji, która w 1940 r. ukształtowała się w dwóch nurtach: liberalno-demokratycznym (związanym z rządem czechosłowackim na emigracji w Londynie) i lewicowym, z wiodącą ro-

Ciąg dalszy na str. 8—9, 10

# z notatnika

25 VIII. Pojechała żona rolnika spod Chelma na wczasy do Starego Sącza i podzieliła się wrażeniami z dziennikarką „Nowej Wsi”. Wczasy — to nie gospodarstwo. Krowiny nie ryczą, jest czas na stanie w kolejkach. I co wyszła?

Przytaczam w kolejności: wygrzewacz, durszlak, duży blaszak na pranie, czajnik, cztery paczki herbaty, watek, krem „Nivea”, firanki, pościel, dwa odkurzacze, przecienione buty, gumowany płaszcz, suszarkę do włosów, dla męża — fanelówkę i gacie. Rolniczka spod Chelma powiedziała: „Toż ja by tego nawet za dwa lata u nas pod Chelmem nie kupiła”.

Odkurzacze robi się w Rzeszowie. Kiedy byłem w tym mieście, usłyszałem, że produkuje się ich dzisiaj więcej niż przed kryzysem! A ludzie całymimi nocami stoją w kolejkach, aby kupić. Co jednak jest charakterystyczne? Ano to, że wzrosła liczba sprzedanych odkurzaczy, a zmniejszyła się liczba reklamacji. Czy poprawił się sam wyrób? Raczej nie. Po prostu odkurzacz kupuje się i wcale go się nie używa, bo ma się inny, stary. Tymczasem ten nowy, choć stoi bezczynnie, też psuje się. Psuje się od samego stania.

Powtarzam to, co usłyszałem. Kto chce, i tak nie uwierzył!

Gdy już o Rzeszowie... Tamtejsza oficyna wydawnicza KAW należy do dość przynajmniej. Ostatnio wydała „Opowieści spod skrzydeł” Tadeusza Daleckiego, oparte na ustnych relacjach sławnych pilotów, powieść o czasach wojny Jana Łysakowskiego „Echo”, Michała Czartoryskiego „Serce w herbie” — rzecz o Marii z Sienkiewiczów Siedmiogrodzkiej, dwa foldery Artura Baty o Bieszczadach („Szlakiem walk z bandami UPA” i „Szlakiem Bieszczadzkiej Kolejki Leśnej”).

Sprawami literackimi zajmuje się w rzeszowskim KAW-ie Jolka Baryłanka, która przed laty niemal w „Kamieniu” debiutowała. Chwalił ją zawsze Jurek Pleśniarowicz i chyba miał nosa. Całej zaś firmie szefuje Zygmunt Kłatek. A firma mieści się w pięknej willi, położonej na spokojnej ulicy, choć w centrum Rzeszowa. To nie ulica Buczka w Lublinie, gdzie mieści się lubelski oddział KAW-ut.

Byłaby w tej willi, którą przed kilkoma laty kupiono w stanie ruinalnym (nowe słowo). I zrobiono z niej prawie cud.

27 VIII. Znakomicie redagowane łomżyńskie „Kontakty” drukują w 202 n-rze (gratulacje po wydaniu 200 numeru) złote myśli dyrektora (zebrane ponoć przez byłą sekretarkę poważnej instytucji). Oto kilka z nich: „Dyrektor to nie kapuśniak, nie pozwól komuś mieszać się w moich sprawach”. „Proszę mi zawołać kierownika. Już ja nim tak pokieruję, że będzie z niego dobry kierowca”. „Proszę mi jego (kogoś tam) wrzucić na aparat”. „Iwan Groźny to ja nie jestem, ale, jak trzeba, to powiem/umiem bez żadnego pardonu...”

Apeluję do pań sekretarek: przesyłajcie podobne kwiatki! I nie tylko do pań sekretarek: gotowi jesteśmy w „Kamieniu” utworzyć specjalną rubryczkę, w której będziemy drukować złote, platynowe i srebrne myśli naszych rodaków. Nie tylko samych dyrektorów...

28 VIII. Wyczytałem opinię korespondenta PAP-u z Waszyngtonu, ale przecież jest to opinia nie tylko jego, ale i wielu obserwatorów spraw amerykańskich...

Stwierdza on, że konwencja w Dallas wywołuje wrażenie, iż prezydent Reagan i jego ludzie pragną uczynić z Partii Republikańskiej partię skrajnej prawicy, partię fundamentalistów religijnych i wręcz jedyną partię mającą reprezentować interesy Ameryki. W polityce wewnętrznej zwraca u republikanów uwagę zupełnie pominięciu problemu praw kobiet. Walter Mondale, kandydat na prezydenta z ramienia Partii Demokratycznej, stwierdził w związku z tym: „Platforma wyborcza, której nie może nawet poprzeć córka prezydenta, musi wyjść Reaganowi bokiem”...

Bokiem czy przodem, faktem jest jednak, że wszelkie badania opinii publicznej wskazują, iż Reagan ma dziś przewagę nad swym rywalem, Mondalem...

Jeżeli to, co mówi i robi teraz republikanie, nie jest działaniem samobójczym (a niby dlaczego ma być?), a jedynie wyrazem woli i nastrojów większości tego społeczeństwa, to łatwo można sobie wyobrazić dalszy rozwój stosunków międzynarodowych, a szczególnie stosunków Wschód-Zachód...

Hamburski „Stern” z 23 sierpnia zamieszcza na okładce zdjęcie Reagana z białym balonikiem na nosie, a w środku m.in. dwaj publicyści, Bruhna i Dederichs, charakteryzują sylwetkę obecnego prezydenta USA,

który często zachowuje się jak słoń w składzie z porcelaną. Oto dowcip, jaki opowiedział on przed najstarszym parlamentem świata, brytyjską Izbą Gmin: Po niemieckim nalocie na Londyn wyratowano z gruzów zbombardowanej kamienicy starą kobietę. Ratownicy odnaleźli również butelkę brandy i zaproponowali jej łyżeczek. Stara dama odpowiedziała: „Zostawcie ją, ona jest tylko na najpilniejsze potrzeby...”

Zarty Reagana... Ostatecznie pal je licha, ale warto przypomnieć, że podczas wojny wietnamskiej w 1965 r. Reagan zalecał „zrównanie z ziemią Wietnamu Północnego i założenie tam parkingów”. A koniec świata snuje mu się czasami po głowie w formie biblijnej walki ostatecznej między dobrem a złem. „Zapytuję się, czy nie jesteśmy pokoleniem, które zdąży go przeżyć” — powiedział w ub. roku...

29 VIII. Krótki nekrolog w „Sztandarze Ludu”: Józef Wilkosz nie żyje...

Nie widziałem go od dobrych paru lat, bodaj w 1973 r. przeszedł na zasłużoną emeryturę. Zasłużoną więcej niż w pełni — zaczął pracę w drukarni jako 13-letni chłopiec! Summa summarum — 52 lata w zawodzie, w zakładach poligraficznych Gdyni, Wąbrzeźna i Lublina.

W naszym mieście znalazł się w 1940 r. po wysiedzeniu przez hitlerowców z terenów wiezionych do III Rzeszy i tak tu już pozostał do emerytury, do śmierci...

Przez wiele lat był kierownikiem działu linotypowego, poznaliśmy się pod koniec lat czterdziestych, gdy pracowałem w „Sztandarze Ludu”. Ponieważ redagowałem depeche, mieliśmy sporo kontaktów głównie służbowych, ale i towarzyskich. Wydaje mi się, że wtedy bardziej odczuwało się serdeczną więź między drukarzami a dziennikarzami, wspólną troskę o ostateczny kształt gazety. Wielu spośród drukarzy miało tę przewagę nad nami, dziennikarzami, że pracowali w swym zawodzie już przed wojną, należąc do tzw. robotniczej aristokracji. Długo trzeba było wówczas terminować, aby na stałe zakotwiczyć się w poligrafii.

Między mną a Józkiem Wilkoszem było dwadzieścia lat różnicy wieku, ale w codziennej, a właściwie nocnej, pracy jakoś tego nie odczuwaliśmy. On — drukarz dla mnie — dziennikarzem był starszym kolegą, który wtałmniał mnie w arkana sztuki drukarskiej. W wolnych chwilach uczył nawet składania na linotypie, chyba w myśl zasady, że wszystko może się w życiu przydać!

Cechowała go życzliwość dla ludzi, ale nie lubił bumelki i często potrafił zrywać się na młodych, że tak lekko traktują sobie swój zawód. On, zanim trafił do niego na stałe, musiał przejść twardą szkołę!

Przed Wilkoszem odeszli i Ziółkowski i Mokrzanowski — stara gwardia gazetowa. Niby normalne, choć trudno z tym się pogodzić. Dziwne jednak, że kontakt między emerytem a zakładem pracy jest prawie żaden, że związki zawodowe, jakiegokolwiek by one były — o takim czy innym sztydzie — mało troszczą się o tych, którzy znaleźli się z racji wieku poza burtą. A potrzeba tak niewiele — trochę życzliwości, trochę pamięci. Może kiedyś ktoś tą życzliwością odplaci się tym, którzy dziś powinni ją okazywać?

30 VIII. Dziś mija czwarta rocznica podpisania porozumień szczecińskich, jutro — gdańskich. Wiele na ten temat w prasie, telewizji i radiu. W radiu — nie tylko polskim. Właśnie w tym niepolskim, choć po polsku gadającym, słyszę, że ktoś tam miał właśnie wygłosić okazjonalne przemówienie, ale ponieważ może go nie wygłosić, więc przekazuje je zagranicznym korespondentem Zachodu, by ci zrobili z niego odpowiedni użytek. Ktoś tam znów spotkał się z kimś i odmówił komentarza na temat tego, o czym rozmawiano, chociaż zagranicznych korespondentów z Zachodu tylko to obchodzi. A niektóre osoby, które w ramach amnestii znalazły się na wolności, zachowują się tak, jakby nic od końca 1981 roku w kraju się nie zmieniło. Mentalność ludzi również, nawet spośród tych, co wówczas bardzo głośno klaskali.

31 VIII. W „Sztandarze Ludu” L. Gnot pisze, że zaskokowała go informacja, iż inwestor i fundator puławskiego pałacu kultury — Domu Chemika, a fundatorem tym są Zakłady Azotowe, przekazuje obiekt władzom miejskim, gdyż eksploatacja i utrzymanie tak dużego ośrodka przerasta możliwości puławskiego giganta przemysłowego. Dopiero połączone środki finansowe wszystkich dotychczasowych placówek kulturalnych w mieście, które przy tej okazji ulegają likwidacji, plus wydatna pomoc Ministerstwa Kultury, pozwolą na utrzymanie obiektu. „Właściwie to mamy szczęście! — dodaje L. Gnot. — Nie wyszedł nam w zaplanowanym, dziesięcioletnim cyklu budowy teatr w Lublinie. A co byłoby, gdyby, chociaż to prawie utopia, dotrzymano zobowiązań i uruchomiono na 40-lecie teatralny kombinat? Kto byłby w stanie finansować utrzymanie takiego kolosa? Czy pomogłoby zamknięcie wszystkich dychawicznych, robiących bokami klubów, świetlic i innych placówek kulturalnych Lublina?”

Nie wiem, czy teatr stanie na 50-lecie. To znaczy nie chodzi mi o mury, ale o zagospodarowanie wnętrza: trzeba to i owo sprowadzić z zagranicy, a więc szczęście, o którym pisze L. Gnot, może jeszcze trwać długo, bardzo długo. Niemniej sytuacja jest więcej niż paradoksalna i dobrze, że felietonista „Sztandaru Ludu” zwrócił na nią uwagę.

W tym samym n-rze Franciszek Piątkowski dzielnie broni Teatru Wizji i Ruchu, który nie podobał się komus w „Tu i Teraz”, i lojalnie ostrzega: „Jak przyjedzie któryś z warszawskich teatrów poszukujących tu, na prowincję, to już ja go znajdzie i ja mu pokażę...” Oczywiście nie traktuje owego ostrzeżenia poważnie (przypominają mi się ostrzeżenia, a było ich kilkanaście, ChRL wobec Tajwanu): Piątkowski na teatrze się zna, dużo ogląda i dużo o nim czyta i, gdy trzeba, przyłożyć potrafi, ale pytam się, jak, to znów teatr poszukujący czy też teatr, który już coś znalazł, rodem z Warszawy, do Lublina przyjeżdża? A jaki teraz pogrzebie Piątkowskiego zechce łaskawie tu się poławiać?

A swoja droga jednemu taki czy inny teatr ma się prawo podobać, innemu zaś nie. Jeden lubi mięso, a drugi słodycze. Na polemikę szkoda, moim skromnym zdaniem. I słów i papieru, bo pachnie ona prowincja.

We wspomnianym n-rze „Sztandaru Ludu” (a chodzi mi ciągle o numer z 31 sierpnia) najbardziej bulwersującą okazała się dłuższa informacja Andrzeja Albigowskiego pod takim tytułem: „Magazyny przepelnione • Długie kolejki przed elewatorami • Samochody wykorzystane minimalnie • Dalekie przetrzuty ziarna ZAMOJSZCZYŻNA ZASYPANA ZBOZEM”.

Tak, tak, nie ma żartów! A jeszcze pamiętam nie tak dawno, bo gdzieś w lutym czy marcu 1982 r. pojechaliśmy z ówczesnym sekretarzem rolnym KW PZPR w Lublinie, Januszem Mańko, do chłopów, by ich przekonywać o konieczności sprzedawania państwu zboża. To znaczy sekretarz przekonywał, a ja słuchałem, chociaż w pewnym momencie nie wytrzymałem i też musiałem coś tam powiedzieć.

Z tego, co pisze Albigowski, wynika, że kolejki przed elewatorami wydłużyły się do tego stopnia, iż na rozładunek czeka się prawie dobę. Najpierw GS-y licząc na sprawny rozładunek przyjęły znacznie więcej niż nominalna pojemność GS-owców magazynów. Np. GS w Jarczewie kupiła prawie tysiąc ton, a magazyn ma na niewiele więcej niż 400 ton. A jak tu szybko rozładowywać, kiedy samochody stoją przed elewatorami dzień i noc? Stoją, zamiast iść tam razy obrócić tam i z powrotem.

Oczywiście są w Polsce elewatory, gdzie takich kolejek nie ma. Np. elewator w Niewachowie na Kielecczyźnie, odległy o ponad 200 km. Kurs do Niewachowa jest opłacalny, bo samochody wracają szybciej niż z Zamościa czy Werbkowice. Wracają jednak puste, co jest sprzeczne z przepisami!

Zeby wszystko było jeszcze bardziej skomplikowane okazuje się, że Centrala Przemysłu Naftowego wystosowała do STW w Zamościu ostrzeżenie (nauczyliśmy się od Chińczyków ostrzegania!), że nie będzie tej firmy zapoatrzywać w olej napędowy. Powód — brak pieniędzy na koncie. A dlaczego brak pieniędzy? Dlatego, że GS-y wypłaciły pieniądze za zboże rolnikom i nie mają teraz forsy, by dać ją STW za transport. A kiedy GS-y tę forsy będą miały? Wtedy, kiedy dostarczą zboże do elewatorów...

Te przepisy — słuszne może w normalnych warunkach, ale w warunkach kleski urodzaju — to pętla na szyi narzędy gospodarki. Nie wiem, czy wojewoda zamojski pni spokojnie. Ja bym nie mógł!

A może skorzystać z propozycji Nikodemu Dyzny? A może w naszym ustawodawstwie potrzebny jest i taki przepis, że w razie specyficznych sytuacji wiele mniejszych przepisów bierze po prostu w łeb? Dla dobra sprawy! Zbożowy stan wyjątkowy — tego jeszcze nie było!

IX. Ostatni raz tak rano oglądałem telewizję wówczas, kiedy transmitowano lądowanie Amerykanów na Księżycu. A dziś, wcale nie nastawiając budzika, zbudziłem się akurat w chwili, kiedy spiker zapowiadał tę pierwszorzędową transmisję z Westerplatte, Warszawy i Katowic...

Przed 45 laty twardo spałem, kiedy hitlerowcy rozpoczęli napad na Polskę, a o wybuchu wojny dowiedziałem się gdzieś koło dziewiątej, dziesiątej, bo rodzice ukrywali przede mną tę wiadomość. I dowiedziałem się pod ślicznie chując rozmowę starszych!

A potem siedziałem się przy radiu i słuchało tajemniczych komunikatów „koma (trzy, cztery?) przeszedł...”

W mej powieści dla młodzieży „Drewniane szanie”, której drugie wydanie właśnie się ukazuje, zawarłem wiele autentycznych przeżyć z tego okresu i nie musiałem nawet specjalnie ubarwiać. Mieszkałem w Chelmie przy ul. Reformackiej, z pominięciem głównej ulicy, Lubelska, była właśnie w rejonie (zmieniano bodaj kocznie by na koczki), właśnie bezpośrednio przez plot mogli obserwować kawalkady samochodów, wśród nich licznych poselstw i ambasad, o czym świadczyły chorągiewki zawieszane na maskach wozów. Na flagach znalazłem się znakomicie (lepiej niż dzisiaj, no ale nie państw na kuli ziemskiej przybyło...) więc brylowałem wśród kolegów z podwórka...

Pierwsze bomby na Chelm spadły 8 września, ale przedtem, 3 września, przeżywałem euforię, gdy Anglia i Francja przystąpiły do wojny...

Nasze mieszkanie, będące również redakcją „Kamienia”, i stąd znane wśród ludzi pióra, stało się prawdziwym azylem dla warszawskich uciekinierów. Poznałem wówczas i Tadeusza Hollendra, i Jerzego Kamila Weintrauba, i Stanisława Wasylewskiego, i Jalu Kurka, i Adama Polewkę, i Eugeniusza Zytomirskiego... A także Wandę Wągliwską, ale tej tylko zdążyłem otworzyć drzwi: kiedy dowiedziała się, że ojciec, w myśl wskazań, uciekł właśnie za Bug (wkrótce zresztą stamtąd wrócił do domu), nawet nie weszła dalej...

Jalu Kurek pożyczł ode mnie różne kryminały w rodzaju 10-groszowych zeżycyków („Lord Lister” i „Harry Dickson”), zaczytywał się w nich i twierdził, że to odpręża. Przypomniałem mu to po latach w liście... A Stanisław Wasylewski wraz z żoną spał na kanapie i wszyscy dziwił się, jak się oni mieszczą... Ale byli i tacy luminarze pióra, którzy spędzali noc na podłodze.

Wszystko, o czym wyżej, stanęło mi przed oczyma dziś wczesnym rankiem, kiedy oglądałem wspomniany program telewizyjny.

2 IX. Kilka dni temu (numer z 31 sierpnia) „Kurier Polski” poinformował o hipotezie dr. Whitby'ego (znanego, jak stwierdza dziennik, brytyjskiego lekarza — wierzę na słowo!). Otóż dr. Whitby (a ściślej dr. William T. Whitby!) stwierdza, że tyton wcale nie jest szkodliwy dla zdrowia. Przeciwnie! Ma na nie dobroczynny wpływ!

Zdaniem wspomnianego eskulapa nikotyna wpływa na zmniejszenie napięcia ścian dróg krwionośnych, co w rezultacie znacząco ogranicza możliwość wystąpienia arteriosklerozy, ma też odprężać istotną rolę w zwalczaniu... chorób serca. Według Whitby'ego tyton ma też właściwości tonizujące napięcie nerwowe. W organizmie funkcjonującym pod przedłużającą się „presją” następuje zwiększone wydzielanie adrenaliny, co z kolei zwiększa procent odkładającego się cholesterolu, którego nadmiar jest „odpowiedzialny” za zagrożenie serca. Konkluzja doktora staje się więc oczywista: tyton chroni przed zawałem. Ale to jeszcze nie koniec cudownych właściwości tytonu! Leży on niektórych stany zapalne zwalczą otyłość, pomaga zachować koncentrację w czasie stresu, obniża agresywność (np. po pewnym czasie prowadzenia samochodu kierowcy niepalący stają się dużo bardziej agresywni od swych kolegów-palaczy). Nikotyna zwiększa też odporność na ból, pomaga dłużej wytrwać w pracy intelektualnej i fizycznej. Dr. Whitby uważa wręcz, że tyton chroni od raka!

Poszperałem w słowniku angielsko-polskim, sądząc, że „Kurier” szpetnie się naciął i nazwisko Whitby'ego tam oznacza. Znalazłem tylko słowo whitebaít, które tłumaczy się jako smażone młode rybki. Szkoda, że nie białe myszki, i to żywe! Zastanawiam się jednak, po co takie brednie drukować w gazecie o masowym nakładzie (przedruk w „Kamieniu” to musztarda po obiedzie — odpowiadam na ewent. zarzuty). Może jeszcze napisać, że cyjanek potasu wzmacnia apetyt?

Robaczków, oczywiście! Tych, co „urządzają” na omyślach.

Jeśli chodzi o moją skromną osobę, to rewelacje „Kuriera” mnie nie zalamyły. Cztery tygodnie już nie palę, czego i sekretarzowi Andrzejowi Szpringerowi życzę!

M. A. Jaworski

# Bronisław Gołębiowski:

**N**A jednym ze spotkań z korespondentami gazety „Gromada-Rolnik Polski” w gmachu Sejmu prof. Jan Szczepeński na pytanie, jakie jest jego zdaniem największe osiągnięcie 40 lat Polski Ludowej, odpowiedział bez chwili namysłu: 40 lat pokoju. I dodał: wierzę mi, bo ja przeżyłem dwie wojny światowe, w dzieciństwie — pierwszą, a w wieku męskim — drugą... I to jest święta prawda. Temu nikt nie zaprzeczy.

Ale też nie zaprzeczy temu, iż nasz wpływ bezpośredni jako narodu i państwa na utrzymanie pokoju w Europie nie był decydujący, choć w całości niemy. Stabilność Polski jest niezbędnym warunkiem pokoju w Europie. Byliśmy bliscy naruszenia tego warunku w roku 1981 z powodu wewnętrznego rozdarcia. Wprowadzenie stanu wojennego zapobiegło temu „większemu zlu”, trudnemu nawet do wyobrażenia, jeśli chodzi o skutki.

Pokój jest dobrem ogólnoludzkim, międzynarodowym i uczestniczymy w nim o tyle, o ile sami przyczyniamy się do jego utrwalenia. Co jednak w naszym kraju dokonało się najistotniejszego w tym 40-leciu jako wynik naszych wewnętrznych przemian, czego dokonaliśmy naszymi rękami, naszą wolą, pracą narodu?

Na to pytanie o wiele trudniej odpowiedzieć. A poza tym każdy ze swojego punktu widzenia — zawodowego, środowiskowego, czasem też światopoglądowego — co innego skłonny będzie preferować. Socjolog czy działacz społeczny może wysuwać fakt tak głębokiego przeobrażenia struktury społecznej z chłopsko-robotniczej w 1944 r. (odpowiednio około 52 proc. i 22 proc. ogółu ludności kraju) w robotniczo-chłopską w 1980 r. (odpowiednio około 53 proc. i 23 proc.). Ekonomista zaakcentuje zmianę struktury ekonomicznej z rolniczo-rzemieślniczo-przemysłowej ku zdecydowanie przemysłowej, wydobywczo-surowcowej i rolniczej.

Jednemu i drugiemu można wszakże odpowiedzieć, iż stało się to kosztem wielu błędów i marnotrawstwa sił czy środków, bynajmniej niekoniecznych. I będzie to prawda.

Pedagog czy działacz oświatowo-kulturalny może zasadnie podnieść znaczenie osiągnięć w dziedzinie oświaty powszechnej i możliwości awansu młodych pokoleń chłopów i robotników do warstwy inteligencji. Około półtora miliona absolwentów wyższych uczelni po wojnie, około 5,5 miliona maturzystów, razem około 7 milionów ludzi wykształconych na poziomie średnim i wyższym, z tego około 2/3 pochodzenia robotniczego i chłopskiego. To prawda, mamy więcej inżynierów niż RFN, więcej lekarzy niż niejedną bogatszą kraj (oczywiście na 1000 mieszkańców), ale niewiele to daje w sensie jakości naszego przemysłu czy funkcjonalności i profilaktycznego działania służby zdrowia. Cóż to za osiągnięcie, które kiepsko rentuje. Owszem, ale chyba nie największe...

W ten sposób moglibyśmy dojść do wniosku, iż nie ma największego osiągnięcia tego 40-lecia, że jest wiele osiągnięć jakby składowych — mających swe blaski i cienie — czegoś większego, co jeszcze trwa. Co trudno nazwać osiągnięciem, bo wiem ma wszelkie cechy gorącego od ludzkich dążeń i konfliktów procesu. I powstanie potężnej klasy robotniczej a „uhistorycznienie się” tradycyjnej klasy chłopskiej na rzecz mniejszej liczby nowoczesnych rolników, i industrializacja, i 7-milionowa nowa inteligencja, w większości „z awansu”, i wiele innych wielkich czynów 40-lecia, to nie są przecież cele same w sobie, lecz środki do ukształtowania socjalistycznego człowieka o bogatej osobowości, socjalistycznym etosie i indywidualnym, podmiotowym uczestnictwie tak w życiu społeczno-politycznym, jak i w kulturze. A do osiągnięcia tego celu jeszcze daleko...

Co jednak do tego prowadzi? Jakie procesy społeczno-kulturowe są tu najistotniejsze? Aby odpowiedzieć na to pytanie, odwołam się najpierw do tego, co w wystąpieniu na Kongresie Kultury Polskiej w Warszawie w 1966 r. mówił, jako o najważniejszym procesie przemian w 20-leciu Polski Ludowej, prof. Józef Chalasiński na podstawie analizy tysięcy pamiętników młodzieży wiejskiej, nadesłanych na wielki konkurs ZMW w 1961 r.:

„Zasadniczą zmianą, jaką przyniosło dwudziestolecie Polski Ludowej, jest unarodowienie mas ludowych i w związku z tym integracja narodu. Pisał Staszko o przezycięciu wyłączeniowości narodu szlacheckiego, bo naród polski był kiedyś narodem szlacheckim; w okresie niewoli na czoło wysunęła się warstwa inteligencji; lata międzywojenne to niesharmonizowana hegemonia trzech elementów: ziemiaństwa, burżuazji, inteligencji; dwudziestolecie Polski Ludowej zapoczątkowało drogę do stworzenia decydującej roli warstw ludowych. Wiele niepokojów naszej humanistycznej myśli, w tym również i wyolbrzymiany problem alienacji, wynika z tej zasadniczej zmiany, która zawiera się w fakcie, że z unarodowieniem warstw ludowych historia pozabawiła inteligencję wyłączeniowości narodowej i dawnej misji — narodowego patronatu nad warstwami ludowymi. Unarodowienie warstw ludowych, o których tu mowa, nie jest jeszcze zakończonym procesem przeobrażeń kultury, zawiera się w nim już jednak świadomość historycznej wspólnoty narodu i poczucie odpowiedzialności warstw ludowych za jego dalsze losy”. („Rewolucja młodości”, Warszawa, 1969, s. 347).

Jest to dla mnie punkt wyjścia dla wyróżnienia zasadniczej zmiany, jaką dostrzegam po latach czterdziestu Polski Ludowej, w dwadzieścia lat po tym, co pisał w wyżej przytoczonym fragmencie prof. J. Chalasiński. Moim zdaniem, ten sam proces unarodowienia mas ludowych i poszukiwania nowych płaszczyzn integracji narodu trwa nadal. I jest szansą do wykorzystania jeszcze na przeło-

czeniu przed śmiercią w 1979 r. pracy — we wstępie do trzytomowej antologii „Pamiętniki Polaków 1918 — 1978”, że takowe procesy były właściwe jeszcze np. Jakubowi Wojciechowskiemu na emigracji zarobkowej i mają one miejsce we współczesnej kulturze młodych polskich robotników. „Istota tego procesu — pisze Chalasiński — polegała na tym, że jednostki z podległych warstw ludowych — chłopów i robotników — urobieni byli przez tradycję w taki sposób, aby patrzeć na siebie ze stanowiska warstw wyższych jako na istoty gorsze, niesamodzielne kulturowo, nietwórcze. Na emigracji wyzwalały się z tej duchowej społeczno-kulturowej niewoli u warstw wyższych, a wyzwolaniu temu sprzyjało oderwanie się od rodzinnych miejscowości, od systemu tradycyjnej folwarcznej zależności. Przez emancypację do ośrodków miejsko-przemysłowych wchodziły na tę drogę uniezależnienia się i odkrywania w sobie własnej wartości i wolności oraz samodzielnej przynależności do swojego narodu”.

W Polsce Ludowej — podkreśla J. Chalasiński — podobne procesy zachodzą w nowo tworzącej się klasie robotniczej, wzbogacone dzięki warunkom ustrojowym „przez poczucie współodpowiedzialności za losy narodu”. Zaś „podkulturę robotniczą” charakteryzuje „szczególnie silny związek z pracą produkcyjną, przemysłową, z kwalifikacjami zawodowymi i techniką”, a autonomizacja osobowości tego typu nie oznacza tendencji do wyłączenia się z życia grupowego. („Pamiętniki Polaków 1918—1978”, Warszawa, 1983, s. 19—20).

Oto istota procesu, który trwa i jest szansą dla pokolenia dzieci tych, którzy budowali podstawy Polski przemysłowej, robotniczej i z możliwością kształcenia się dla wszystkich chętnych oraz zdolnych młodych obywateli. Tamto pokolenie było jednak dość niezróżnicowaną „masą ludową”, co

## Ankieta „Kamery” SZANSE 40-LECIA

mie XX i XXI wieku. Procesy tego typu, o charakterze historyczno-kulturowym, mają przebieg wielopokoleniowy i nie poddają się doraźnemu planowaniu z pięcioletki na pięcioletkę.

O ile jednak w pierwszym dwudziestolecu Polski Ludowej (1944 — 1964), o którym pisał J. Chalasiński, przeważały jeszcze klasowo i pokoleniowo procesy unarodowienia mas chłopskich poprzez masową „migrację z awansem” do miast, zdobywanie tam nowych zawodów, nowych nawyków kulturowych, obyczajów, nowej świadomości klasowej (robotniczej, inteligentnej, drobnomieszczańskiej — różnej), o tyle w latach 1965 — 1984, czyli drugim dwudziestolecu tego 40-lecia, mamy już nieco inne akcenty i składowe tego samego procesu.

Zmiana pokoleniowa II połowy lat 60-tych, a szczególnie lat 70-tych, sprawiła, iż na czoło wysuwa się już nie awans grupowy, już nie poczucie dużej satysfakcji z samego faktu uzyskania dyplomu, zawodu wykwalifikowanego itp., lecz potrzeba autonomizacji osobowości i indywidualizacji uczestnictwa w kulturze ogólnonarodowej. Podmiotowego uczestnictwa w „robieniu” historii. To, co zadowalało z nawiązką wyrobników wiejskich, przenoszących się w latach 50-tych do Nowej Huty, nie zadowalało już po 20 latach ich dorastające dzieci, budujące np. hutę „Katowice”, mimo wszelkie analogie, jakie próbowała tu podsuwać ówczesna propaganda.

To były dwie różne generacje i różne typy aspiracji, choć proces ten sam: unarodowienia mas ludowych w sensie ich wyzwolenia społecznego od niepotrzebności, bezrobocia, „idiotyizmu” niepotrzebnego życia w zapadłej wsi „na zagonie”, bez żadnych perspektyw, prócz ewentualnej migracji za chlebem (generacja rodziców); i unarodowienia tychże mas ludowych, już jako robotników przemysłowych i inteligentów w pierwszym w większości pokoleniu, w sensie realnego wpływu osobowego na państwo, zakład, kraj, kulturę — słowem na całość zwaną Polską Ludową.

Procesy autonomizacji osobowości przebiegają niezwykle zawiłe i długo. J. Chalasiński, który jest również autorem tej kategorii pojęciowej, pisze w swej ostatniej przygotowanej oświadczenie do

nie znaczy, iż nie było w nim wspaniałych osobowości i niezwykle ofiarnych, ideowych ludzi. W tym sensie stanowiło to „masę”, iż tak go ukształtowały w większości warunki przedwojenne, wojny, i okupacji, powojennych zniszczeń i mordegi odbudowy. Przejście przez tę „próbę historyczną” nie było łatwe.

Jeśli z tego punktu widzenia patrzymy na wydarzenia lat 1980 — 1981, tak dramatyczne, na kryzys, nie tylko ekonomiczny, lecz społeczny i moralny, który z takim trudem pokonujemy jako społeczeństwo, to jawi nam się to wszystko jako bolesne i trudne, ale niemal konieczne, ogniwo w zasadniczym procesie zmian w osobowości społecznej Polaków, w naszej mentalności, charakterze narodowym itp.

Ileż w tych wybuchach „podmiotowości” ma wszelką cenę z czasów „Solidarności” wieczna strajkująca z 1981 r. było jakby chęć zamantestowania swego „ja”, swej niezależności, autonomii niemal od własnej pracy, nie mówiąc już o państwie czy dyrekcji. A jednocześnie ile potrzeby integracji na zasadzie — złudnej, bo złudnej, ale upragnionej jako ideał, w który chce się uwierzyć — jedności „wolnych wśród wolnych”, „równych wśród równych” itp.

Rzecz jasna, dążenia te wykorzystywali z nawiązką antysocjalistyczni macherzy z różnych ugrupowań, ale nie oni je wywołali. Ukształtował je socjalizm, a przeciwnicy socjalizmu starali się im tylko nadać charakter skrajny, anarchistyczny, jako że wolność i równość absolutyzowana do tego prowadzi. Warto o tym pamiętać, wychodząc z tego kryzysu.

Kontynuować proces unarodowienia klas ludowych w jego fazie stwarzania wszelkich przesłanek socjalistycznej autonomizacji ludzkiej osobowości, szczególnie młodych robotników i chłopów, ich podmiotowej roli w państwie i kulturze narodowej, to znaczy w pełni realizować to, co w wydarzeniach sierpnia 1980 r. było robotnicze i głęboko socjalistyczne.

Taki program jest zawarty w całokształcie dorobku IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR oraz w platformie programowej działalności Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego.

## W 45 rocznicę śmierci poety

Józef Czechowicz

### ŻAL

głowę która świeje a świeci jak świecznik  
kiedy srebrne pasemka wiatrów przefruwają  
niosę po dnach uliczek  
jaskółki nadrzeczne  
świergocą to mało idźże  
tak chodzić tak oglądać sceny sny festyny  
roztraskane szybki synagog  
płomień polykający grube statków liny  
płomień miłości  
nagość  
tak wysłuchiwać ryku głodnych ludów  
a to jest inny głos niż ludzi głodnych płacz

zniża się wieczór świata tego  
nozdrza wietrzą czerwony udój  
z potopu gorącego  
zapytamy się wzajem ktoś zacz  
rozumnożony cudownie na wszystkich nas  
będę strzelał do siebie i marł wielokrotnie  
ja gdy z pługiem do brzdę przywarł  
ja przy foliatach jurysta  
zakrzuszone wołaniem gaz  
ja śpiąca pośród jaskrów  
i dziecko w żywej pochodni  
i bombą trafiony w stallach  
i powieszony podpalacz  
ja czarny krzyżyk na listach  
o żniwa żniwa huku i blasków  
czy zdąży kręta rzeka z braterskiej krwi odrzawieć  
nim się kolumny stolic znów podźwigną nade mną  
nadleci wtedy jaskółek zamieć  
świśnie u głowy skrzydło poprzez ptasią ciemność  
idźże idź dalej

# Wygrać czy przegrać na punkty?

Henryk Pająk

**W** COROCZNIE powtarzającej się wrzawie o sposób przyjmowania na studia nie pozostawia się suchej nitki na żadnym z obowiązujących systemów klasyfikacji, w oczywisty sposób niedoskonałych, ponieważ nie zadowolających wszystkich, zarówno zainteresowanych bezpośrednio, jak też ludzi z boku. Niezadowolenie i krytycyzm, czy raczej autokrytycyzm, nie omija także ludzi wprost odpowiedzialnych za kształt istniejących systemów egzaminacyjnych. Znać to po enuncjacjach przedstawicieli „resortu”, którzy pod naciskiem krytyki przepowiadają kolejne modyfikacje.

W sumie więc każdy przyszłoroczny kandydat na studia nie wie dziś, jak mu za rok kaźną zdawać: czy z udziałem komputerów czy żywych egzaminatorów („humanizacja egzaminów”); czy będzie premiowany jego prowincjonalizm czy wielkomiejskość, pochodzenie chłopskie czy robotnicze, służba wojskowa czy półroczne dzwiganie pacjentów pogotowia, ciężkie dzieciństwo czy kombatancka przeszłość rodzica.

Oczywiście, punktem zapalnym były i pozostają na następne sezony ogórkowe, sławne punkty dobitkowe. To one są sprawcami prasowej kruczajki wokół nich toczy się najwściebszy bój. Gdy jednak rzucić nań okiem z lotu ptaka, okaże się, że jest to najszlachetniejsza batalia, jaką zna historia: toczy się bowiem pod sztandarami sprawiedliwości.

Co ważniejsze — sprawiedliwości społecznej, a jeszcze ściślej — klasowej. Wprawdzie pojęcie klas społecznych jakoś ostatnio się u nas zatarło, bo na przykład o robotnikach mówi się jako o klasie, ale chłopci zeszli już o szczebel niżej, bo są tylko grupą społeczną — w końcu jednak każdy dorosły obywatel, w tym również kandydat na studia, wie, o co i o kogo tu idzie. Krótko mówiąc, chodzi o to, aby wszyscy, którzy mieli nieprzyjemność urodzić się w klasie czy grupie „gorszej”, to znaczy robotniczej lub chłopskiej, otrzymywali w drodze na studia szlachetną rekompensatę klasową w postaci...

No właśnie, w jakiej postaci? W jakiej. Pośled punkty? Jak liczonych, od czego?

Ekstremą zaś, energicznie potrząsając sztandarami sprawiedliwości i godności klasowej, wola: to hańba! Wstyd, żeby po czterdziestu latach budowania społeczeństwa ludzi równych oficjalnie przyznawać się do nierówności społecznej! Co gorsze — ustawowo sankcjonować ją i z góry zakładać, że owe podziały, czy raczej kalectwa klasowe, rezerwujemy sobie na długie lata, z perspektywą ich pogłębiania. I jeśli dożyjemy takich czasów, że dziecko chłopskie czy robotnicze będzie przyjmowane na studia bez żadnych egzaminów, to tym samym przyznamy się przed światem do istnienia podziałów klasowych na miarę jakiegos apartheidu!

Gończka obecnych sporów o egzaminy wstępne skacze w górę tylko z tego powodu, że usiłujemy

godzić dwie wykluczające się idee — potrzebę sprawiedliwości, do której udaje się nam zbliżyć tylko dzięki dodatkowym preferencjom — z racjonalnym wymogiem obiektywizmu, preferującego tylko rzeczywiste przygotowanie kandydata.

Tych spraw pogodzić się nie uda, mamy więc zagwarantowany na lata spór o system przyjęć. W tym kontekście przestaje być ważne dla mnie (choć za rok mój ancymonek startuje na studia), czy będzie tak czy owak; dwa czy pięć punktów za pochodzenie, za pracę fizyczną w hufcach, za olimpiady przedmiotowe, za subordynację czy kontestację, za pleć czy bezpieczeństwo. Będzie tak, jak ma być, to znaczy — kto aktualnie najgłośniej wygłasza swoje racje, albo której grupie (klasie?) społecznej trzeba się pilniej przypochlebiać...

Nieskończenie ważniejsze i ciekawsze wydaje mi się dochodzenie przyczyn, które zrodziły zjawisko preferencji.

Odpowiedź tylko pozornie jest prosta — wzięły się z potrzeby wyrównania szans startu młodzieży robotniczej, a zwłaszcza chłopskiej, z szansami młodzieży inteligentnej. Oznacza to nie tylko przyznanie się do istnienia tych nierówności, lecz także ich narastania. Wszak kiedy jeszcze nie istniały w PRL żadne punkty dodatkowe, procent studiującej młodzieży robotniczo-chłopskiej był większy niż obecnie. Sięgnijmy głębiej — do czasów zgniłej sanacji, a nawet do wieku XIX, posługując się artykułem prof. Celiny Bobińskiej („Polityka” 1983 nr 50). Przewertowane przez Bobińską przedwojenne roczniki statystyczne dowodzą, co następuje: w 1914 roku mieliśmy na studiach 21 proc. młodzieży robotniczo-chłopskiej, a zwłaszcza chłopskiej — bo aż 16 proc. W latach trzydziestych co trzeci student pochodził z tych klas społecznych, z czego w trzech czwartych — ze wsi!

Po drugiej wojnie tylko w dziesięciolecie 1945—1955 robotnicy i chłopcy przekroczyli połowę liczby wszystkich studentów, a w niektórych latach stanowili nawet 60 proc. Od 1956 r. robotnicy, a zwłaszcza chłopcy, wycofują się ze studiów, z czasem aż do 10 proc. W 1977 roku było nieco lepiej — 15 proc. kandydatów, lecz wkrótce nastąpił dalszy regres, aż po 6—7 proc. w roku ubiegłym!

Oczywiście nie można tu udawać niewiedzy o tym, że po wojnie chłopcy stanowili około 70 proc. ludności kraju, a teraz mniej niż 50 proc. Znacznie zwiększyła się liczba robotników, ale niewiele przybyło dzieci robotników w strukturze kandydatów na studia. Obraz wcale więc nie pojaśniał w rezultacie tych przemieszczeń.

W każdej klasycznej czytance o doli przedwojennego chłopca gęsto piszą, jak to ciężko było się uczyć. Sięgnijmy do sławetnych „Pamiętników chłopów” („Książka i Wiedza”, 1955 r.), gdzie w doborze tekstów obowiązywał jedyny kolor — czarny.

Oto chłopak, zdolne dziecko 16-morgowego gospodarza, a nie jakiegos tam komornika, nie zdołałby ukończyć seminarium nauczycielskiego w Łęczycy, gdyby nie opatrnościowa pomoc krewnego, ławnika agronoma.

„W pierwszym roku nauki, placąc po 65 złotych miesięcznie za kwaterę, to za książkę, przejazd,

◆ Posiedzenia rozpoczynały się o godz. 20.40 ◆ Nie wolno było czytać z kartki

## Życie codzienne Rady Miejskiej

Józef Marczyk

**C**OTYGODNIOWE posiedzenia lubelskiej Rady Miejskiej, odbywające się w wielkiej sali Ratusza, wzbudzały olbrzymie zainteresowanie opinii publicznej. Tłumy ciągnęły na galerię, aby przysłuchiwać się wielogodzinnym dyskusjom „ojców miasta” nad palącymi problemami mieszkańców. A problemów tych po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. było bardzo wiele. Dyskutowano więc zarówno nad sprawami zaopatrzenia ludności w żywność i opał, jak też nad formami zwalczania chorób zakaźnych i likwidacji bezrobocia. Omawiano bardzo trudne kwestie opieki społecznej i lecznictwa, głodu mieszkaniowego oraz gospodarki komunalnej i realizacji obowiązku powszechnego nauczania. Żywo reagowano też na sprawy życia politycznego w kraju, mimo iż wykaczały one poza kompetencje Rady Miejskiej jako organu władzy lokalnej.

Galeria burliwie demonstrowała, niekiedy były dyskutowane sprawy płac i warunków pracy robotników miejskich, czy też obciążenia podatkowych. Władzom miejskim nie szczędzono przy tym gorzkich słów często niezastuszonej nawet krytyki. Momenty takie natychmiast podchwytowała miejscowa prasa. Nie trudziła się sbytnio o rzetelną i obiektywną informację o pracy Rady Miejskiej. Złotymi słodkimi tytułami, w rodzaju „Najwyższy czas odejść, panowie”, łatwo zdobywała czytelników. Celował w tej metodzie endecki „Głos Lubelski”, któ-

ry stawował bez przebrania w słowach radnych z Klubu PPS, a zwłaszcza Żydów.

Posiedzenia Rady rozpoczynały się o godzinie 20.40 i ciągnęły się najczęściej do późnych godzin nocnych, a niekiedy nawet do rana. Radny Julian Borkowski, znany sędzia, wspomina o ciekawym zwyczaju spotykania się dużych grup radnych w mieszkaniach prywatnych, bezpośrednio po zakończeniu zebrań plenarnych. Miały one raczej towarzyski charakter, lecz

### Z przeszłości Lublina

skupiały wyłącznie ludzi określonych ugrupowań politycznych bądź zwolenników konkretnego programu. Na o-wych spotkaniach redagowano rezolucje, prowadzono wszechstronne dyskusje, a nawet opracowywano na piśmie treść wystąpień dla silniejszych mówców. Ci z kolei musieli nauczyć się tekstów na pamięć, gdyż regulamin obrad nie pozwalał radnym czytać ich z kartki. Wolno było odczytywać tylko sprawozdania, dokumenty, interpelacje, wnioski i cytaty.

Radni byli obowiązani przybywać na obrady punktualnie i brać w nich udział aż do końca. Za spóźnienie się na posiedzenie placili oni kary pis-

ne. Bardzo skrupulatny sekretarz Rady Miejskiej, Jan Pignat, który znał radnych i ich charakter pisma, zauważał jednak odstępstwa od tej rzekomo przestrzeganej zasady regulaminowej.

Dotarł on w raporcie do prezesa Rady Miejskiej, Jana Turczynowicza, 23 października 1921 r. co następuje: „Niejednokrotnie już stwierdzałem, że radna Witkowska podpisuje listę obecności nie tylko za siebie, ale i za radnego Kusyska, podpisując się jego nazwiskiem. Przypuszczam, że

radna Witkowska czyni to z tego względu, aby Kusysk nie figurował na liście spóźnionych, gdyż radny Kusysk przeważnie się spóźnia, lecz spóźnienia swego nie uznaje za winę”. Radny Stanisław Kusysk, znany z aktywnej działalności w organizacjach chłopskich, często kłócił się z obowiązkami nałożonymi na nich przez wybory, należał gorliwie wypełniać.

Radni miejscy w Lublinie znani byli z dużego wyrobienia politycznego i zaangażowania społecznego. Pod wieloma względami naśladowali oni Sejm. Oprócz organizowania się w kluby polityczne, dzielili się stanowiskami w Magistracie i agendach miejskich zgodnie z kluczem partyjnym, a nie według specjalności. Podobnie jak w Sejmie, zgłaszali interpelacje i nagłe wnios-

ski oraz odwoływali się do Konwentu Seniorów, składającego się z przewodniczących klubów politycznych w Radzie Miejskiej.

Pierwsze wybory do lubelskiej Rady Miejskiej w niepodległej Polsce odbyły się w lipcu 1919 r., a więc jeszcze w okresie wzniesienia się fali rewolucyjnej, przenikającej z Rosji Radzieckiej i toczącej się walki o władzę w kraju. Siły prawicowe z endecją na czele oparowały kierownictwo stanowiąca w Radzie Miejskiej i Magistracie. Od nich zależały w dużej mierze podejmowane decyzje.

Na posiedzeniu Rady Miejskiej 30 kwietnia 1919 r. radnym ugrupowań robotniczych z PPS na czele udało się przewodzić uchwałę o uroczystym obchodzie w Lublinie święta 1 Maja. Czytamy w niej: „Rada Miejska uznając święto 1 Maja jako święto robotnicze, obchodzone przez robotników wszystkich krajów, uchwała wstrzymać się w dniu tym od pracy wszystkich pracowników miejskich i Magistratu”. W dniu święta pracy odbyła się manifestacja robotników przed pomnikiem Unii Lubelskiej. Przemawiał wiceprezydent miasta, działacz PPS, Władysław Uziembło. Głównymi ulicami przeszedł pochód, w którym brało udział około dwu tysięcy osób. Wszystkie zakłady i fabryki były nieczynne, w całym mieście panował nastrój świąteczny. Na Ratuszu obok biało-czerwonego sztandaru powiewał

opłatę administracyjną, koszt nauki przeniósł su-  
mie 800 złotych, to znaczy przeniósł dochód naszego  
gospodarstwa. [...] Więc po pierwszym roku zro-  
zumieliśmy szalony krok i niemożliwość dalszego  
uczenia o własnych siłach".

Podobną skalę wysiłku materialnego ponosiła ro-  
dina robotnicza na wykształcenie swojego dziecka,  
a mimo to na uczelniach nie brakowało synów  
woźnych, praczek, szewców, nie mówiąc o dzie-  
ciach wielkoprzemysłowej klasy robotniczej. Zdolni  
sali i przechodzili — jeśli po drodze nie zmiotły  
przeciwności materialne i wszędobylska gruź-  
lica. Ta jednak specjalizowała się w wydelikaco-  
nej arystokracji.

A teraz? Teraz potrzebne są punkty preferen-  
cyjne, ponieważ grozi nam mikronowy udział mło-  
dzieży chłopskiej w populacji studenckiej. Ta oczy-  
wistość wyznacza chyba jednoznaczny kierunek  
poszukiwań regresu. Jeżeli na siłę będziemy chcieli  
utrzymać te 6 proc., to preferencje, coraz większe,  
staną się nieodzowne; w tym sensie jestem także  
za dodatkowymi punktami.

Ale jaki skutek? Także nieunikniony; obniżanie  
poziomu, premiowanie przeciętności, stawianie  
sztucznych klasowych barier i równie sztucznych  
udogodnień.

Kto chciałby być leczony czy operowany przez  
lekarza, który kiedyś na egzaminach wstępnych  
wyeliminował dziesiątki innych, zapewne zdolniej-  
szych kandydatów, bo dostał dodatkowe punkty.

Już dziś tysiące kandydatów zasiadają do egza-  
minów wstępnych w roli pewniaków — tak są  
obłowieni w owe punkty.

Owszem, byłbym za tym, aby za autentyczne,  
nie naciągane chłopskie pochodzenie dodać trzy,  
może pięć punktów — lecz nie tyle za samo po-  
chodzenie, ile za prowincjonalizm — za trudniej-  
szy dostęp do tekstów i testów, do lepszych kore-  
petytorów itd. Coś takiego już przecież było. Pod-  
kreślam jednak, że taki czy inny system mnie nie  
interesuje i nie zamierzam być autorem jeszcze  
jednego zbawionego sposobu preferencji, inni bo-  
wiem skutecznie prześcigają się w tej twórczości.  
Są wśród nich i tacy, którzy z powagą żądają znie-  
sienia egzaminów wstępnych! Jak np. Marek Ar-  
pad Kowalski w „Przeglądzie Tygodniowym” (nr  
31), dla którego problem sprowadza się tylko do  
zapewnienia większej liczby krzesel i pulpitych w  
aulach. Bo potem, na egzaminach semestralnych,  
słabi i tak odpadną!

Już ten pomysł dowodzi, że możemy spodziewać  
się najgorszego w dalszych propozycjach. Ale naj-  
gorsze tkwi zupełnie gdzie indziej — w społecz-  
nym, pokoleniowym kryzysie wykształcenia, no-  
szącym znamiona zjawiska trwałego i wciąż na-  
rastającego. Nie ma on większego związku z ak-  
tualnym kryzysem gospodarczym czy politycznym.  
Gdyby miał — byłoby jeszcze niezłe, albowiem  
mógłby przeminąć razem z nim. Obserwujemy oto  
kryzys koncepcji społecznego awansu i rozwoju  
jednostki poprzez wykształcenie. Kryzys systemu  
od dawna nie sterowanego przez rzeczywiste po-  
trzeby gospodarki, kultury, funkcjonowania struk-  
tury administracji i całego państwa, wymagających  
stałego dopływu ludzi z wykształceniem wyższym.

Kryzys systemu masowego kształcenia danego na-  
rodowi niejako w postaci historycznej rekompensa-  
ty za dziejową nierówność, rekompensaty w wa-  
runkach powojennych — pilnej, koniecznej, niemal  
wymuszonej.

Spójrzmy, co pozostało z inteligencji polskiej w  
1945 roku. Metodycznie niszczone w czasie wojny  
na lewo i prawo, potem dodatkowo rozproszone po  
świecie, a na dodatek, do 1956 roku, gnębiona na  
skutek monstrualnych nieporozumień politycznych  
i doktrynalnych — przestała niemal istnieć jako  
grupa społeczna.

Po dwudziestu latach zaczęło być tej inteligencji  
dyplomowanej za dużo, ale uczelniana machina  
produkcyjna nadal szła pełną parą. I nadal przy-  
spiesza. Nowy uniwersytet w Szczecinie, nowa  
Akademia Medyczna w Bydgoszczy. Nie jestem  
przeciwnikiem nowych uczelni, w Szczecinie czy  
gdziekolwiek. Jestem przeciwko masowości kształ-  
cenia, zwłaszcza takiego, w którym tylko nieliczni  
mają szansę nie otrzymać dyplomu, większość  
ma natomiast po studiach zagwarantowane rozca-  
rowania, frustracje, nędzne płace, poczucie bocznego  
toru i zmarnowanego czasu.

Można zamknąć pięć wyższych uczelni albo uru-  
chomić tyle samo nowych, ale nie przestawi to  
świadomości społecznej z dyktatu wykształcenia  
wyższego jako niemal jedynej formy samospelnie-  
nia osobowości: intelektualnego, zawodowego, spo-  
łecznego, gwarantowanego wszak przez konstytucję  
i pryncypia ustrojowe.

Jest to dyktat w przedziwny sposób usypiający  
i oszukańczy. U progu matury tysiące dziewcząt i  
chłopców składają „papiery” na jakąś uczelnię, bo  
tak trzeba, bo tak wypada, bo co będą robić, jak  
nie skończą wyższych studiów? Rezygnacja ze zło-  
żenia papierów to regres, wstyd na całą uliczkę,  
osadę, blok, szkołę. Dyplom tak spowszedniał i na  
skutek tego spowszednienia stał się tak nieodzowny,  
że teraz człek bez wyższego wykształcenia,  
choćby był zadowolony z życia znakomitym  
krawcem, tokarzem, rolnikiem, to i tak pozostanie  
tylko krawcem, tokarzem, rolnikiem.

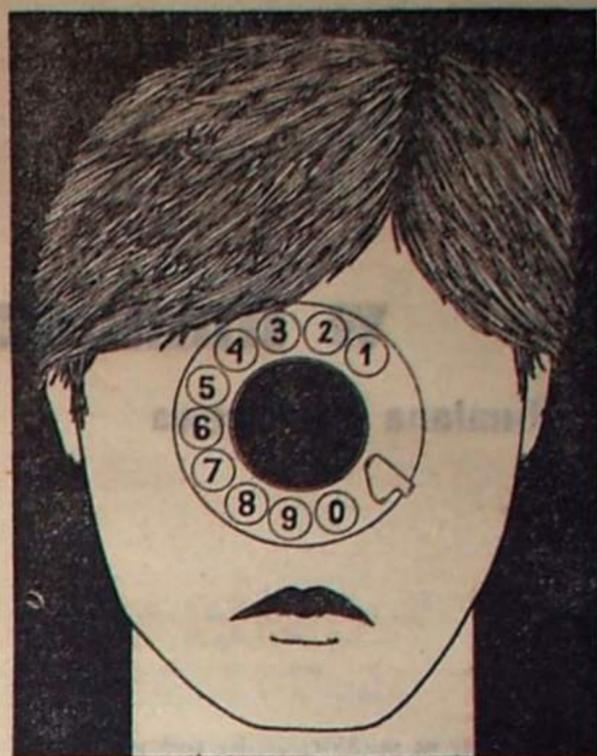
Jeżeli aspiracje pokolenia mogą spełniać się je-  
dynie przez dyplom, to jest coś nie w porządku  
albo z pokoleniem, albo z jego szansami, albo z  
dyplomami. Na Zachodzie nie ma dyktatu wykształ-  
cenia, jest dyktat fachowości, efektów zaintereso-  
wań. Kandydat na męża czy żonę legitymuje się  
kontem, a nie dyplomem. Konformizm? „Najpierw  
jeść, potem filozofować” mawiali starożytni.

Paradoks i błędne koło: dyktat wykształcenia,  
które niewiele i coraz mniej zapewnia. Dlaczego  
tak jest?

Czy nie dlatego, że jesteśmy nowym mieszczań-  
stwem w starych klasowych kompleksach, w któ-  
rych ideałem było wykształcenie, czyli wybiecie się,  
a w ogóle to „leższa praca”? Czy m.in. nie dla-  
tego tak „leciutko” pracujemy, ponieważ pracuje-  
my tylko dyplomami?

Jest klęską dla rodziny Inteligenckiej, jeśli syn  
czy córka nie pójdą na studia. Jest życiowym ma-  
rzeniem kowala z FSC, aby jego syn nie musiał  
złuzować ojca w tej kuźni.

A jak jest z marzeniami wsi?



Rys. Szczepan Sadurski

Wygląda na to, że najsukuteczniej opiera się te-  
mu dyktatowi właśnie wieś. Szacunek i potrzeba  
kontynuowania tego, co wypracowali rodzice, bu-  
dując z takim trudem dom i całe gospodarstwo, to  
chyba główna, najważniejsza przyczyna wzrastają-  
cej absencji młodzieży wiejskiej na studiach.

Byłoby znacznym uproszczeniem, gdyby doszuki-  
wać się przyczyn tej rezerwy wobec magii dyplo-  
mu: jedynie w gorszych warunkach startu, czy też  
w malejącej liczbie młodzieży na wsi. Wszystkie  
takie uwarunkowania składają się na tę rezerwę,  
lecz praktycznym i realizm chyba jednak przewa-  
żają. Nawet kończący studia coraz powszechniej  
wracają na ojcowiznę, dyplom wieszając na ścia-  
nie gościnnej izby. Tam, na wsi, czeka na nich  
ciężka praca, lecz i stosunkowo realne możliwości  
bytowej stabilizacji, dochodu, może nawet dobro-  
bytu, a zwłaszcza „bycia na swoim” i pracy na  
własne konto.

W każdym razie wszyscy, którzy tam zostają lub  
powracają, mają perspektywę nieco jaśniejszą od  
widoków córki łódzkiego tramwajarza czy syna od-  
lewnika z lubelskiej FSC, którym dyplom gwaran-  
tuje długie poszukiwanie posady oraz płacę niższą  
od zarobków ich rodziców.

Natomiast ich szanse na samodzielne M-3 należy  
zdecydowanie lokować w pierwszej, dekadzie XXI  
wieku!

Dlatego więc tak gorąco marzą o studiach?  
Wiedzieć by kiedyś warto.

także czerwony, wywieszony przez  
wiceprezydenta Uziemlą i woźnego  
Magistratu.

Klub PPS na przełomie lat 1919—  
1920 kilkakrotnie zgłaszał na posiedze-  
niach Rady Miejskiej wspólnie z rad-  
nymi Bundu (żydowska partia robot-  
nicza) deklaracje polityczne potępiają-  
ce wojnę Polski z Rosją Radziecką,  
nawołując do zawarcia pokoju (Rząd  
Rosji Radzieckiej 28 stycznia 1920 r.  
złożył oświadczenie, wyrażając swoje  
stanowisko wobec niepodległości Pol-  
ski i rokowań pokojowych). Lewica  
Rady Miejskiej zgłosiła pod obrady de-  
klarację wzywającą radnych do wypo-  
wiedzenia się za przyjęciem propozycji  
pokojowych rządu radzieckiego. Oto  
jej brzmienie: „Zważywszy, że: 1. dal-  
sze prowadzenie wojny, rujnującej ży-  
cie gospodarcze kraju, podkopuje pod-  
walny egzystencji klasy robotniczej i  
uniemożliwia prowadzenie normalnej  
gospodarki miejskiej; 2. dalsze prowa-  
dzenie wojny leży li tylko w intere-  
sie kapitalistów i paskarzy, że wojna  
narzucona Polsce przez kapitał koali-  
cyjny ma na celu pogrzebanie rewolu-  
cji rosyjskiej i restaurację starego  
porządku; 3. że ostatnia propozycja po-  
kojowa rządu sowieckiego [z dnia 28  
stycznia 1920 r. — J. M.] umożliwiła  
natchmiastowe przystąpienie do jaw-  
nych rokowań pokojowych, Rada Mie-  
jska wypowiada się za zatrzymaniem  
kroków wojennych i natchmiastowym  
rozpoczęciem rokowań pokojowych”  
 („Głos Lubelski” nr 58 z 28 II 1920).  
Endecko-chadecka prawica Rady zde-  
cydowanie wypowiedziała się przeciw-  
ko treści deklaracji. Przewagą dwu  
głosów prawicy i centrum deklaracja  
została odrzucona.

Rada Miejska żywo interesowała się  
przygotowaniami do plebiscytu na  
Górnym Śląsku. Po uchwaleniu przez  
Sejm Ustawodawczy statutu autono-  
micznego dla Górnego Śląska w lipcu  
1920 r. prowadziła akcję uświadamia-  
jącą wśród mieszkańców miasta. 2 lu-  
tego 1921 r. Rada uchwaliła specjalny  
fundusz plebiscytowy, akcentując w

ten sposób walkę o powrót ziemi ślą-  
skiej do macierzy.

Pierwszym prezydentem Lublina w  
okresie od 1919 do 1927 r. był Czesław  
Szczepański, znany adwokat, bezpar-  
tyjny liberal, wybrany na to stanow-  
isko głosami prawicy i centrum Rady  
Miejskiej. Wywodził się z rodziny lu-  
belskiego piekarza. Po ukończeniu pra-  
wa na uniwersytecie w Petersburgu w  
1912 r. pracował w sądownictwie, a na-  
stępnie na stanowisku ławnika Magi-  
stratu i wiceprezydenta Lublina. Jako  
prezydent miasta podjął pracę nad  
dźwignięciem Lublina drogą inwestycji  
komunalnych. Był m.in. inicjatorem  
pożyczki amerykańskiej dla miasta w  
1924 r. Znano go jako dobrego organi-  
zatora i mówcę. W podejmowanych de-  
cyzjach zdecydowanie popierał prawicę  
Rady. Warto tu wspomnieć, że w la-  
tach 1944—1946 był prezesem Sądu  
Okręgowego w Lublinie.

Prezydent Szczepański przez cały okres  
swej ponad osmiolatej działalności w sa-  
morządzie był ostro atakowany przez lewicę  
Rady, która zarzucała mu bezplanową  
gospodarkę Magistratu oraz ograniczanie  
inicjatyw Rady Miejskiej i ignorowanie jej  
uchwał. Na posiedzeniu 29 listopada 1919 r.  
robotnik Stefan Dymida i inni radni z  
Klubu PPS dowodząc, że Magistrat przez  
osiem miesięcy swego urzędowania lekce-  
wał przy potrzebie najuboższej ludności mia-  
sta. Zarzucali mu nieodpowiednią gospo-  
darkę sprawozdawczą, przejawiającą się w  
zlikwidowaniu dziesięciu kuchni ludowych  
i robotniczych spośród dwunastu istnieją-  
cych w okresie okupacji austriackiej, do-  
magali się ustąpienia prezydenta ze stano-  
wiska. Wystąpienia radnych dały „retakt  
wiska. Wystąpienia Klubu PPS, Leontynie Za-  
przewodniczącej Klubu PPS, Krzewickiej, do  
złożenia nagłego wniosku,  
który kończył się słowami: „Ta bezplanowa  
gospodarka Magistratu musi doprowadzić  
miasto do niewypłacalności i wskutek tego  
rozwoj poszczególnych działów pracy sa-  
morządowej stanie się niemożliwym. W ta-  
kich warunkach wszelkie wnioski i uchwa-  
ły Rady Miejskiej stają się bezprzedmiotowe.  
Toteż Rada Miejska protestuje jak  
najkategoryczniej przeciwko samowoli jak  
przeciwko odwiekaniu przedłożenia pro-  
jektu budżetowego Radzie Miejskiej. Rada  
Miejska udzieli nagany Magistratowi i wy-  
raża wotum nieufności prezydentowi mia-  
sta”. Jednak większość głosów prawicy i  
centrum wniosła nagły PPS został od-  
rzucony. Na znak protestu sebrani na ga-  
zeczony. Na znak protestu zaczęli śpiewać „Czerwony  
Sztandar”, a radni socjalistyczni manifesta-  
cyjnie opuścili salę obrad. Prezes Rady  
smuszony został zamknąć posiedzenie.

W czasie kolejnego posiedzenia Ra-  
dy, 27 listopada, toczyła się kilkugo-  
dzinna dyskusja nad wnioskiem rad-  
nych PPS o uchwalenie wobec prezy-  
denta miasta wotum nieufności. W jej  
efekcie Szczepański podał się do dy-  
misji. W jego piśmie skierowanym do  
ministra spraw wewnętrznych w spra-  
wie przyjęcia dymisji czytamy: „Do  
powyższej rezygnacji mej skłoniły mnie  
następujące względy: Rada Miejska m.  
Lublina w łonie swoim nie posiada  
żadnego ugrupowania, któreby rozpo-  
rządzając znaczną większością głosów,  
mogło wziąć na swą odpowiedzialność  
prowadzenie gospodarki miejskiej, wed-  
ług z góry zamierzanego planu i pro-  
wadzić politykę gospodarczą według z  
góry opracowanego projektu. Wobec  
tego Rada Miejska m. Lublina, nie po-  
siadając w swym łonie, poza nielicz-  
nymi oczywistymi jednostkami, znawców  
gospodarki miejskiej, w głosowaniach  
swych przygodną większością, tworzą-  
cą się od wypadku do wypadku, w  
sposób pobieżny załatwia poszczególne  
wnioski, nie tylko nie będąc w in-  
icjatywie i pracy pomocną Magistrato-  
wi, ale przeciwnie, wytrącając tenże  
Magistrat z nakreślonej drogi” Klub  
narodowy zdołał jednak pozyskać dla  
siebie ortodoksów oraz nacjonalistów  
żydowskich z centrum i przeforsować  
większością głosów wniosek własny,  
uchwalający wotum zaufania prezyden-  
towi Szczepańskiemu.

Żydowskie warstwy posiadające repre-  
zentowali w Radzie Miejskiej ortodoksi, na-  
cjonalisci i ugodowa inteligencja. Pod  
względem politycznym i obyczajowym naj-  
bardziej konserwatywni byli Żydzi ortodo-  
ksi. Stali oni na gruncie przekonań reli-  
gijnych, ściśle zgodzających się z formu-  
lami symbolicznymi i zasadami wyznania  
możeszowego. Dwa mandaty dla tego u-  
grupowania w Radzie uzyskali: fabrykant  
Herz Jojna Zyber i właściciel domu Alter  
Wolcer. Wyrażali oni w Radzie Miejskiej  
interesy burżuazji żydowskiej, a w mo-  
mentach głosowania łączyli się z endecją.  
Jeżeli nie zostali urażone ich ambicje reli-  
gijne bądź narodowe. W dniu soboty nie  
brali oni udziału w posiedzeniach Rady,  
zawaze nosili typowe stroje... Nacjonalisci  
żydowscy zdobyli cztery mandaty. Grupa ta,  
nazywana często językiem u wagi, miała  
duży wpływ na to, kogo wybierano do  
władz miejskich i jakie forsowano decyzje.

Najczęściej popierała ona endecję. Przewo-  
dził jej wpływowi kupiec Izrael Kacenia-  
lenbogen... Radnym z ramienia ugodowej  
inteligencji żydowskiej był Jakub Kipman,  
dyrektor lubelskiej filii Banku Łódzkiego,  
mieszkał w bogato urządzonej gma-  
chu przy Krakowskim Przedmieściu 62  
(lublinianie określali ją mianem „Łódzia-  
bank”). Kipman często udzielał pożyczek  
prezydentowi miasta Szczepańskiemu, aby  
mógł on wypłacić pobory swoim urzędnik-  
kom.

Pięciosobowemu Klubowi Bundu  
przewodziła radna Bajla Szyffer, z  
zawodu biuralistka. Radni tego klubu  
domagali się zniesienia własności pry-  
watnej i uspołecznienia przedsiębiorstw.  
Żądali wprowadzenia obowiązkowej,  
świeckiej i jednolitej szkoły powszech-  
nej dla wszystkich dzieci w mieście.  
Opowiadali się zdecydowanie za roz-  
wiązaniem kwestii żydowskiej w dro-  
dze autonomii kulturalno-narodowej.

Radni miejscy uczyli się na posie-  
dzeniach plenarnych i w pracy komi-  
sji problemowych trudnej sztuki  
sprawowania władzy. Zwalczali się oni  
wzajemnie, w sposób zależny od stop-  
nia kultury osobistej. Mimo wysokiego  
poziomu intelektualnego radnych  
(dwie trzecie z nich legitymowało się  
średnim i wyższym wykształceniem),  
często dochodziło do wypowiedzi na-  
pastliwych i kłótliwych, co tak chętnie  
kwitowały gazety będące organami  
różnych ugrupowań politycznych w  
mieście. Niektóre wystąpienia miały  
demagogiczny charakter, w czym celo-  
wała m.in. Leontyna Zakrzewska. Re-  
ferując np. sprawy bezrobocia, ludności  
ciężkiej, czy stanu zachorowań  
na gruźlicę przywoływała ona jako  
niezawodne argumenty... własne lzy.  
Radna Zakrzewska wiele spraw miej-  
skich załatwiała za pośrednictwem  
swego męża, Mariana Malinowskiego,  
posła z ramienia PPS, wpływowego  
polityka związanego z Józefem Piłsud-  
skim.

(Dokończenie nastąpi)

# MŁODA POEZJA BULGARSKA

w tłumaczeniu Stefana Pastuszewskiego

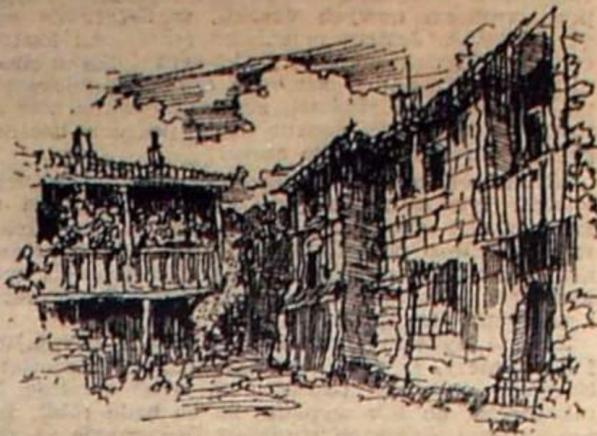
Rumiana Iwanczewa

## KOBIETA

Czy to ty na miękkiej drodze zostawiłaś  
wielkie męskie ślady?  
Ja jestem kobietą jak słońce krągłą,  
rano i wieczorem dobrą,  
ciężką i ciepłą w południe,  
często samą...  
Obiad ci noszę, żniwiarzu,  
noszę ci moją woł i mój chleb,  
abyś żył, które jest we mnie,  
zebrał męską dłońią.  
Ja jestem kobietą.

## DALEKO...

... od znu  
od płotek  
i czasu  
małe miasteczko przyciągnęło naszą miłość,  
Wyrzuty sumienia chciało zatrzasnąć  
w starej skrzypiącej komodzie,  
gdyby ona nie była kulawa.  
Wściekła z powodu swego kolestwa,  
nigdy nie kochana,  
zapytała —  
— ej, wy,  
dlaczego  
się chowacie?



Petyr Dymitrow Matiejew

## MODLITWA

Każdemu potrzebny jest tlen.  
Gołębom i szujom.  
Zajęcom i orłom.  
Ale mieszek z tlenu kurczy się.  
Zostaje tylko czarny dym.  
I gołębie czernieją  
z niedostatku tlenu.  
Zajęce jednak mnożą się nagminnie.  
Mgła otuliła szarością  
współczesną atmosferę.  
Samotne orły latają  
w rezerwach ze sztucznym powietrzem.  
Geny zajęce dobrze rozwijają się  
w bezkrytycznym bezruchu.  
O jedno tylko dziś się modlę,  
zwolennik higienicznego porządku:  
aby nie nastał taki wiek,  
kiedy zajęce będą wznosić w niebo!

Stanisław Penczew Pienew

## ZIMA

Ziemia kładzie się,  
pobledniała.  
W stronę oliwkowej kropki słońca  
więcej  
ogłupiałe wiatry.  
Śnieg prycha.  
Uzdami  
zimnymi  
skuwia zaspę.  
A ja co noc pytam:  
Ile kont grzeje  
białymi chrapami  
śpiącą trawę?

Paweł D. Pawłow

## WESELE

Niewierny wiatr popędza nocę  
i ranek już zorzą kielkuję.  
Moimi drzwiami jest panna — boginka  
z ochryplym od czekania krzykiem.  
Pójdźcie, bezseni, w pstry kalejdoskop  
ostatniego szalonego choro.  
Wyślij swatów, by mnie zaręczyli  
ze starym srebrem księżycy,  
Będę bogaty i dla wszystkich starczy —  
przynieście kieszenie, torby.  
Zaspiewajcie koledy, bo jedynie zima  
będzie za mną tęsknić.  
Niewierny wietrze, i ciebie zapraszam —  
czyż nie jesteś wiecznym kawalerem?  
Kiedy gorycz rozplynie się słodyczą w dzbanie —  
znak, że przyszedł gospodarz dzień.  
Drzwi są już zwykłymi drzwiami —  
skrzypli ich starczy głos  
i wiele spraw staje się bezsensownymi.  
Stare rzeczy zabiera łachmaniarzki wóz.

# Noc

Tadeusz Chudy

TEGO wieczora nikt w Bansku nie położył  
się spać. Miasto jakby oddech wstrzymało.  
Zrobiło się tak, że aż Blago się zląkł. Czy  
aby owa cisza nie zbudzi Turków?  
Przyklął przy oknie i patrzył na biały dom  
z naprzeciwka. Jeszcze do niedawna mieszkał tam  
Bore. Teraz panują w nim inne — tureckie por-  
ządki. Orchan zamurował okna. Podniósł mur.  
Przemienił dom w twierdzę.

Było już dobrze po zachodzie, gdy jeszcze raz  
uchyliły się drzwi. Turek wyszedł przed dom. Od-  
wiązał psy. Podniósł wzrok na dachy sąsiednich  
domów. Potem długo spoglądał na ten czarny kwa-  
drat okna za murem. Zawsze podejrzewał, że ktoś  
stamtąd, osłonięty cieniem, ogląda jego starą,  
brzydka żonę.

— Trzeba będzie — mruknął — powiedzieć jutro  
któremuś z zaptijów, że ten giur mnie podpa-  
truje.

I nie spiesząc się, wśród szpaleru wspaniałych  
bukspanów powędrował do altany. W całej swo-  
jej przebiegłości nie przypuszczał nawet, że istot-  
nie ktoś go stamtąd śledzi. Nie wrócił więc do do-  
mu po strzelbę, jeno powlókł się do altany. Roz-  
siadł się w najciemniejszym kącie i woła na ha-  
num, aby mu czym prędzej trochę fig przyniosła.  
Lubił tak zawsze przed snem posiedzieć trochę w  
ciemności i zaciągając się dymem z nargilli, sięgać,  
od czasu do czasu, po jedną albo i dwie figi.

Czynił to zawsze w absolutnej samotności. Nie  
na werandzie, a właśnie tutaj. Bo nikt nie po-

winien wiedzieć, że Orchan rozwiązuje sobie te-  
raz sznurek u szarawarów, drapie się po brzuchu  
i jedząc figi rozmyśla o hurysach. O wiele młod-  
szych i smakowitszych od jego żony.

— Musimy wydusić ich! — zasyczał Todor, —  
Pamiętasz Jonke?!

— Daj spokój, wszystko wiem...

— Blago, to już trzecia w tym roku!

Usta i piersi hanum w niczym nie przypomina-  
ły gęstego, morwowego smaku świeżych fig, które  
Orchan z taką lubością rozwierał językiem.  
Póleżąc kładł sobie figę na wargach i wciągał jej  
zapach. Albo nadgryzał lekko i powoli wysysał...

— Pamiętasz, Blago, jak się śmiała i śpiewała?  
Nazywali ją Drzewkiem Szczęścia, bo przy kim  
stała, zaraz się tak samo jak ona radowała.

— Wszystko wiem, daj spokój...

— Ale niedługo się śmiała. Przyszedł dzień, gdy  
jej śpiew przemienił się w płacz. A śmiech w  
kamienne milczenie. I już do końca ani słowa.  
Najmniejszego słówka nie wyrzekła. Poszła na ska-  
ły i już się nie dowiemy, który z nich ją skrzyw-  
dził.

Była cisza i coraz większa ciemność. Głęboka  
jak jezioro, które z każdą chwilą poszerza się i po-  
głębia. Już nie widać ani wielkiego białego domu,  
ani orchanowej altany. Krawędź ciemności prze-  
sunęła się poza wszelkie kontury kształtów. Za-  
tęlała je. Przeszły istnieć. Poszła tak daleko, że nie  
istniało już nic poza ciemnością. Zatarła się na-  
wet pamięć miejsc jeszcze przed chwilą widzia-  
nych. Mroczność pochłonęła zarówno światło, jak  
i czas. Nie wiedzieli, czy Turek usnął w altanie,  
czy też przeszedłszy pod wielkim murem, prze-  
bywa już od dawna w domu. I może właśnie te-  
raz układa się obok swej wiecznie zapracowanej  
i krzykliwej żony.

— Nie możemy dłużej czekać — tłumaczył szep-  
tem Todor, — Wszystko musi się odbyć zaraz.  
Zaraz, jak nadejdzie Weliczko.

— Tak — pomyślał Blago — wszystko musi się  
odbyć tak, jak wczoraj na naradzie postanowiono.

Delegacja do Mechomii ruszyła w południe. De-  
legacji wzięli z sobą, co trzeba. Złoto i drogie  
sukna. Dadzą je Paszy aby zażegnał pierwszy  
gniew. Już od południa są w drodze i nic, nic od  
tej pory nie może się zmienić.

— Musimy ich wydusić — syczał Todor. Aby  
nigdy więcej nie próbowali poniedźzy nas wejść!

A Orchan tymczasem, tak jak zwykle, po-  
szturchuje stara hanum:

— Posuń się...

Ona zaś odszczekuje, by był cicho, bo obu-  
dzi dzieci. A on już nie może mówić, bo jest zły.  
Zły na nią za to, że lazi koło domu bez zasłony  
na twarzy. A najbardziej o to, że jej palce nie są  
tak miękkie-wonne, jak tamte, które sobie wyma-  
rzył przy paleniu nargilli. Zły i o to, że nie stać  
go na więcej żon. Bo gdyby miał choćby dwie,  
to wówczas ta stara krzątałaby się przy domu.  
A młodsza, jedyna siedziałaby razem z nim, wy-  
godnie na werandzie. Przy niziutkiej sofrze pełnej  
fig i winogron. Drapałaby go leciutko — tak jak  
on to lubi — za uszami i zaraz potem kładłaby  
w to miejsce swoje wargi. Jak gorącą pieczęć.  
Ale to najpiękniejsze i najmiłsze nastąpiłoby de-  
piero później. To jej nagłe przytulenie stwardnia-  
nymi piersiami do jego pleców i śpiew... Aksamit-  
ny, przepielniący świat gwiazdami śpiew o takim  
kraju, gdzie najczulsze hurysy do niego należą. A  
przyjaciele, z którymi wygrzewa się w bani, za-  
glądają przez mur i zazdroszczą!

— Nie wszystko u nich zle — odezwał się Bla-  
go. — Przez te dni, kiedy wieczorami tu waruje,  
zobaczyłem nie tylko to, na co kazaliście mi zwa-  
żać. Wiem, że buda z psami jest przy bramie.  
I co one zwykle jedzą. I że zanim wstąpi się na  
werandę, trzeba przeskoczyć kilka schodków. A  
także i to, że oni śpią na prawo od wejścia. A  
drzwi nie zamykają, bo mają zaufanie do psów...

— I to powinno ci wystarczyć — rzekł Todor.

— Nie! Wiem ponadto, że jest tam bardzo czy-  
sto. Czyściej niż w nas. Kochają się w kwiatkach.



Georgi Rupczew

## ATELIER

Wchodzi Maria. Między szkicami a kanapkami  
z szynką

graliśmy w karty,  
wchodzi Maria,  
wchodzi bezszelestnie.  
Śledem Marii na ścianach, jedna na sztaludze  
czekało z nami, wchodzi dziewiąta — żywa,  
wchodzi, zakwita mokrym parasolem,  
zielonym płaszczem, fioletową suknią.

Taka magia: wchodzi Maria,  
wchodzi Maria...

Och, jak siedzieliśmy tam,  
trochę pijani, czysti i dobrze uczesani,  
jak rósł dym i ciążyły nam ręce,  
jak świat stopniowo rozmywał się —  
uczestnik, nieuczestniczący,  
domowy, cienkościenny...

Na naszych twarzach, zaczerwienionych i mądrych  
wystąpiła wilgoć —

Maria stała,  
stała  
Maria na progu  
i nas nie widziała...  
Boże.

Pełno ich na dziedzińcu pomiędzy szpaletami bukszpanów i na werandzie.

— A w tureckich więzieniach zaptajowie bardzo  
pięknie torturują niewiernych, czyli naszych...

— To obaj dobrze wiemy — odrzekł Blago —  
ale ja mówię o tym, o czym się nie wie. Zjemy  
naprzeciw siebie nos w nos i prawie nie zna-  
my się. Widziałem z jakim szacunkiem witają u  
progu ludzi starszych. Ujawszy dłoń gościa, do-  
tykają nią swego czoła i brody. Następnie podają  
mu wodę różaną dla odświeżenia rąk i twarzy.  
I dopiero potem wprowadzają do izb gościnnych.  
Osobnych dla mężczyzn i oddzielnych dla kobiet.  
A gdy o zachodzie słońca modła się obracając  
oczy w stronę Mekki to mają ten sam blask w  
twarzy, co i my w chwilach najwyższego uniesie-  
nia.

— Więc nie ma pomiędzy nami, a Turkami  
żadnej różnicy?! — niemal krzyknął Todor.

— Jest, jest. Rządzą się w nie swoim kraju.

— Ty, Blago, za dużo myślisz — rzekł Todor. —  
Boję się, byś nie zapomniał, co mamy zrobić, gdy  
przyjdzie Weliczko...

— Tak — powiedział Blago — ale żal mi starej.  
He razy przeszła koło mojej najmłodszej córki,  
zawsze ją poglaskała. Raz nawet dała brzoskwinię.  
Raina nie chciała wziąć, bo tak nauczyliśmy  
dzieci, żeby od Turka niczego nie brać. Ale wtedy  
przyzwoliłem, bo Orchan wychylił się za porty i  
krzychał do starej, żeby niczego tym psom nie da-  
wać!

— Nasza delegacja — rzekł Todor — na pewno  
już jest w Mechomii. Warty nie chcą nikogo wpu-  
ścić do pałacu, ale delegacji znają sposób. Ustawią  
przy bramie beczkę rakijii i już bez przeszkód  
pójdą dalej. Wreca naszy podarunki i opowiedzą,  
jak to wszyscy Turcy w Banskju chyba na dżumę,  
pomarli. A naszych ze dwa razy więcej...

— Tak, to prawda — rzekł Blago — musimy  
zrobić wszystko, jak zostało na Radzie postano-

My, siedzieliśmy tam,  
ważni jak pęknięte gliniane popiersia —  
nowe pokolenie:  
synowie bez ojców  
i ojcowie nie narodzonych synów...  
Była krótko.  
Wchodzi Maria. Mówi: „Wczoraj umarł tatko”.

## SZPITALNY OGROD

Mgła runęła jak most między niebem a ziemią,  
a ty stoisz na balustradzie —  
tak na pewno stoją na posterunku.  
Życie minęło i zatrzymało się, bo już chmury  
przystanąły,  
niebieskie drzewa stopiły się  
wraz z purpurową korą.  
Upadek oszłomił cię, osłabił wtedy ból  
i wydawało ci się, że sam jeden stoisz na baczność.  
A byłeś chory... I idziesz gorzkimi alejami strachu,  
puls bije cicho,  
ledwo go słyhać w orkiestrze milczących  
drzew.

## CEREMONIA

Zaraz przyjdą, zostali zaproszeni.  
Zaraz przyjdą, przecież my czekamy.  
Pomarańczowe kwiaty wiją się nad głowami,  
furkoczą niby chińskie smoki.  
Wciąż tak siedzimy na krawędzi okrągłego stołu  
w jednodominowym wspólnym bólu głowy.  
Zrodzeni do przekazywania życia i swojej krwi,  
gramy dziedziczne role.  
Podróżujący do nas, dlaczego jeszcze nie  
przybywacie?  
Przecież wskazówki zegara minęły już wieczność,  
przebodły nasze dusze  
i pociekły dalej, gęste i niepewne,  
a czas przeminał z hukiem.  
Tak całe życie siedzimy i wstajemy, siedzimy  
i wstajemy bez końca,  
siedzimy i wstajemy — dostojni, pierwotni,  
witający i znów witający, gadający niechlujnie...  
Zostali zaproszeni, zaraz przyjdą.  
Niech wejdą do pokoju,  
oto:  
wprowadzają księżną, kroczy z przerzuconym przez  
ramię pomarańczowym kocem.

wiem: Ale nie myśl Todor, że mi się do tego spie-  
szy!

Więcej już nie mówili, bo przybył Weliczko.  
Przyniósł, jak było umówione, miszkę pachnącej  
świeżą krwią wątroby i jakieś zioła na uspienie  
psów. Trzeba było teraz tak to zmieszać, aby ni-  
czego poza krwią, nie poczuły. I rzucić przez mur  
koło porty. Czyli, mówiąc po naszymu, koło bra-  
my.

W czasie, kiedy psy pożerały wątrobę, Orchan,  
trzymając hanum za ramię śnił o malej Kajmet.  
Tylko raz przeszła koło niego. Nie widział tej twa-  
rzy. Zapamiętał jedynie smukłą wiotką sylwetkę  
młodej topoli. Zaszleściła po posadzce zielonymi  
sandałami i znikła. Potem gdzieś niedaleko, sły-  
szł jak tęsknym głosem, bardzo cicho nuciła:

Niedaleko Izmiru  
Słodko słowik śpiewa,  
Niedaleko Izmiru  
Pośród winogrodu...

Postanowił wówczas, że jeśli kiedykolwiek zdo-  
będzie się na drugą żonę, będzie mówił do niej  
Kajmet, a ona będzie śpiewała:

Niedaleko Izmiru  
Pośród winogrodu...

Przeskoczyli przez mur. Blago po plecach To-  
dora. Todor po ramionach Weliczka. A Weliczko  
wszedł zwyczajnie, bramą, którą mu od wewnątrz  
otworzyli.

Przeskoczyli psy. Wbiegli na werandę i do środ-  
ka. Kiedy stamtąd wyszli, Todor był siwy.

Rano wojsko szerokim, szczelnym pierścieniem  
otoczyło Banskjo. Ani z miasta, ani do miasta nie  
wpuszczano nikogo. Wpędzono tylko batogami de-  
legację. Od Mechomii aż do Banskja gnano tak  
najznakomitszych obywateli Banskja. Nie wolno  
było im się ani na chwilę zatrzymać, niczego do-  
tknąć. Wbiegli do miasta i pomagali w przygo-  
wywaniu pogrzebów. Grzebano Turków i worki z  
kamieniami udające zmarłych na dżumę Banskjan.

Wstańcie, aby zrobić drogę.  
wstańcie,  
żeby wyprowadzić szaloną.

Marin Marinow

## AUTOBUS NR 17

Jak pianie koguta uszy moje roni  
to rozklekotane, czerwone koryto,  
załadowane zaspanymi oczami  
i mgłą rozwlekłego ziewania zasnuwane.

Tęsknym wyglądaniem ściągnięte w południe  
na obiad do miasta, wolno jak żółto lezie,  
w zawieszynie plotek szaro-miląco-nudnej  
o naszej sennie, prowincjonalnej bledzie.

Z cichą miłością, z sekretami uczennic,  
z nieznanymi ludźmi, tak stałe, od lat,  
trzepocząc drzwiami zanurza się w ciemność,  
jakby w drugie życie, aż na tamten świat.  
Lubię tak jeździć ostatnim autobusem —  
nigdy nie odmawia, choćbym był sam jeden.  
A kiedy spod wrót raju na ziemię już wrócę  
to fruń jak wietrzyk, młodszy o lat siedem.



Rysował Józef Tarłowski

Bez przerwy były dzwony. Przez kilka tygodni  
bily dzwony. I przez cały ten czas, na oczach roz-  
łożonych wojsk, wędrowały kondukt pogrzebowe.  
Szli popł i kto tylko żywy i zdrowy w Banskju.  
Nawet maleńkie dzieci.

— Powiedz mi — odezwał się Todor, kiedy szli  
za ostatnim już pogrzebem — dlaczego oni nau-  
sieli zginąć?

— To dziwne — uśmiechnął się gorzko Blago —  
tak się przedtem spieszyłeś, a teraz nie wiesz...?

— Tylko jedno wiem, że tak samo, jak Orchan,  
chciałbym mieć drugą, młodszą żonę. I całym  
dniami nic bym nie robił. Tylko siedziałbym sobie  
na ławce przed domem, rozmawiał z sąsiadami i  
patrzył na góry.

— On wolal moczyć się w bani — zauważył  
Blago.

— To wszystko jedno. I tu i tam nie się nie robi.  
A jak się człowiek zmęczy gadaniem i patrzeniem  
na góry, to może przyknać oczy i pomilczeć.

— Czego ty, Todor, ode mnie chcesz?

— Nie był na wojnie, nie strzelał i z całą ro-  
dziną zginął. I nie on jeden. Tej nocy wytracono  
wszystkie tureckie rodziny w Banskju. Do ostat-  
niego dziecka.

— Przecież to ty ciągle przypominasz o Jonce.  
Mówiłeś, że kradną. I niemal krzycałeś: — Mu-  
simy ich wszystkich wydusić! Aby nigdy nie o-  
śmielił się pomiędzy nas wejść!

— Wtedy wykrzykiwałem, a teraz wiem,  
jakie to ciężkie. Jakbym codziennie musiał prze-  
nosić na plecach pół świata.

— Więc już chyba pojmujesz Todor, dlaczego  
się nie spieszyłem?

# W IMIENIU NĘDZY

Dokończenie ze str. 1

Smiech, potakiwania kobiet.  
Za oknem zaturkotał pociąg, soltys Nędzy, Jerzy Dzierżęga, zerknął niespokojnie na zegarek, mruknął: — Późno się robi. — I, nie czekając aż przewodniczący Rady udzieli mu głosu, zawołał: — Wysoka Rado! Mówimy tu o wszystkim, tylko nie o najważniejszych sprawach Nędzy.  
— Jak to?! — zdziwił się Alfons Lorenc, przewodniczący Rady Nadzorczej Oddziału Spółdzielni. — A co niby jest najważniejsze?  
Dzierżęga wyjął z kieszeni odznakę soltysią, pokazuje ją Radzie i gościom z Zarządu, z Kola Gospodyń Wiejskich — Widzicie? — Pokiwali głowami na znak, że widzą, a on: — No, to powiedzcie teraz: czy ja mogę tę odznakę nosić?  
Przewodniczący Lorenc, w odpowiedzi: — A czemu nie? Nie ukradłeś tej odznaki, dali ci ją wysoka władza dała.  
Soltys, na oczach siedzących za stołami, schował odznakę do kieszeni marynarki. — Nie, Szanowna Rado — powiada. — Nie mogę tej odznaki nosić. Wiecie dlaczego?  
Nie wiedzieli.  
— Powiedz wreszcie — woła Werner Czogała, rolnik z Zawady Książęcej, przewodniczący Gminnego Komitetu PRON, przewodniczący Rady Nadzorczej RSP, kandydat na radnego do GRN. — Nie męcz ludzi.  
— A powiem! — Dzierżęga wstał i Rada zobaczyła, jaki z soltysa wielki chłop. — Od dwudziestu lat jestem, jak to mówią, ważny szczebel, na którym Nędza się opiera. I co ja mogę? Nic, poza zbieraniem podatku i stonki do wiaderka.  
— A gdzie kupisz to wiaderko? — woła sklepowa Urszula Kampka. — Od miesiąca nie ma wiader, konwi.  
Soltys pokazuje palcem dyrektora Wójcika, ten zdenerwowany woła: — Czy ja robię wiadra?  
Przewodniczący Lorenc, pojednawczo: — Spokojnie...  
Sklepowa Kampka: — Spokój to jest, dopóki nie rzucą na wieś pięciu metrów ceraty...  
— Głupstwa was się trzymają — ucina Dzierżęga. — Nie pamiętacie, jak mnie wezwali do województwa w związku z tamtą odnową? Z uszanowaniem przyjął, sam wojewoda przypiął mi do kłapy odznakę z orłem i napisem: „soltys”. Powiedział przy tym, żebym pamiętał, że ta odznaka wyraża wolę wsi.  
Po powrocie do Nędzy zwołał Dzierżęga zebranie wiejskie. — Otworzyłem jej słowami: „Jest nakazana ogólnie odnowa, mówcie, jak jest, władza chce wiedzieć”. I ludzie powiedzieli, jak jest. Z wola zebrania i z oznaką woli poszedłem do naczelnika, żeby mu powiedzieć, co trzeba zrobić.  
Przewodniczący Lorenc, z uznaniem: — To ja rozumiem!  
— A naczelnik do mnie w te słowa: wy od ludu, a ja od Boga, no to kto ważniejszy w Nędzy?  
Dzierżęga oparł się wielkimi rękami o blat stołu, aż coś zatrzeszczało. — Wróciłem do domu, zdjąłem odznakę z kłapy i schowałem ją do szuflady.  
Zapadło milczenie, deszcz bębnił w okno, za

którym widać żelazny most nad torami, a na nim przygarbione sylwetki chłopów-górników z kopalni „Anna” w Pszowie. Spieszą do domu na obiady-kolacje.

— A ty co, soltysie, czego chciałeś? — pyta Adam Hrebeniak, prezes Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Raciborzu. — Nowego uwłaszczenia? Chciałeś uwłaszczenia demokracją, sprawiedliwymi prawami, udziałem we władzy? A czy demokracja, prawa to coś takiego, co władza daje, wydziela na kartki, jak masło?

— A propos masła. — Będzie trzy razy w tygodniu w sklepie pani Krystyny Kaus — mówi dyrektor Wójcik. — Margaryna będzie w ciągłej sprzedaży.

Dzierżęga, po słowach prezesa, stropił się, zmalował, ale nie siadł. — Kiedy właśnie... — zaczął nieśmiało — o tym właśnie, Szanowna i Wysoka Rado, chciałem mówić. To znaczy, domagałem się rozmowy o tych sprawach, wedle mnie najważniejszych. Wiem przecież, ludzie to czują, że teraz, kiedy mamy nowe prawo spółdzielcze, kiedy jest ustawa o radach i o samorządzie, powinno być inaczej, po ludzku.

Ktoś zawołał bez zastanowienia: — To przecież jasne, że powinno być inaczej. — I zaraz jakby się ocknął, dodał: — Ale co to dziś znaczy... inaczej?

— Prawo o radach, o samorządzie to jakby uwłaszczenie — powiada Werner Czogała. — Teraz trzeba to prawo objąć i zrobić z niego użytek. Nikt za nas tego nie zrobi.

— Ano właśnie! — woła soltys. — Objąć prawa. A czy ktoś rozumie zapisane w ustawach słowa?

Przez salę przeszedł szmer niezadowolonia. Co soltys sobie myśli! Przecież tu siedzą ludzie wykształceni. Nie jeden ma tytuł magistra. A kto bez naukowego tytułu, kto rolnik, robotnik — też swoje wie, czytać umie.

Dzierżęga poprawił marynarkę, wyprostował się.

— Wysoka Rado Nadzorcza! — rzekł oficjalnie. — W imieniu Nędzy domagam się rozmowy o tym, co dla Nędzy ważne, a nie do końca jasne. Domagam się odpowiedzi na pytania nalożone na mnie na ostatnim zebraniu wiejskim. Co to znaczy: inaczej, sprawiedliwiej? Co to takiego demokracja, równe prawa?

Skończył, siadł zdyszany i, ocierając pot z czoła, dodał: — Za dnia, jutro, wyglądać będą ludzie zza płotów znaku, że będzie w Nędzy inaczej. A znaku odmiany szukać będą na mojej soltysiej kłapie, umówiłem się tak ze wsią.

Rada kiwa osiwiałymi głowami. Młodzi jakoś nie garną się do radzenia. Stoją z boku, wyczekują.

Przewodniczący Lorenc do Czogały, zmartwiony: — A starym najtrudniej mówić po nowemu o słowach znanych od lat, wymawianych od rana.

— Weźmy na pierwszy ogień demokrację — proponuje Czogała, o którym mówią w Zawadzie Książęcej, że jest politycznie oblatany. — Ludzie nie raz i nie dwa sparzyli się na demokrację, dmuchają teraz na zimne. Nie palą się do udziału we władzy. Boją się manipulacji, pozorów współrzędzenia. Bo przecież słowo demokracja nie zawsze znaczyło współrzędzenie, sprawiedliwość. Głosy potakiwania.

— Tu w Nędzy, to była gra pozorów!

— A gdzie indziej to było inaczej?

Przewodniczący Lorenc podnosi ręce do góry: — Wysoka Rado, trzymajmy się swojego podwórka, Nędzy.

— A jak to bywało, nikomu z obecnych nie trzeba przypominać, ale ja przypomnę — mówi prezes Hrebeniak. — Na stanowisko prezesa przywołano człowieka w teczce. Na zebraniu wiejskim

teczkę tę otwierano, i jak mówią ci z „Anny”, było po ptokach. Zgromadzonym pozostawało tylko jedno wyjście: zaaprobować narzuconą władzę.

Głos Dzierżęgi: — Było jeszcze drugie wyjście, przez drzwi.

— A wyszedłeś, soltysie? Wyszedłeś choć raz?

— Nie sztuka wyjść — mówi Alfons Szyra z Babcie, kandydat na radnego. — Sztuka zostać i wybrać swego, porządnego człowieka.

— Ale czy jest pewność, że taki porządny, kiedy dostanie się na stanowisko, dojdzie do władzy, to zostanie dalej porządnym? — pyta Aniela Dudek.

— Pewność? — zastanawia się prezes Hrebeniak. — Pewność to można mieć tylko w sprawie dostawy wędzonych ryb do sklepu pani Kaus. A co do spraw publicznych...

Dyrektor Wójcik do prezesa Hrebeniaka półgłosem: — Nie, ryb wędzonych nie będzie. Psują się w ciągu jednego, dwu dni. Można mieć pewność, że będą marynowane, w słoikach.

Prezes Hrebeniak, jakby się nie stało: — A co do spraw publicznych... to nie ludzie, a prawa dają pewność. Trzeba tylko chcieć i umieć z praw korzystać. Trzeba sprawiedliwie prawa rozdzielać. Bo często bywa tak, że jedni mają więcej praw do wszystkiego, inni mniej.

— Władza łączy się z większymi prawami — powiada rolnik z Babcie, Engelbert Nowak, ten, co nie dostał od naczelnika Kowalczyka talonu na ciągnik C-330.

Sąsiad Nowaka ze wsi, Alfons Szyra, zaprzecza: — Nie łączy się! No, bo kto z naszej Rady ma więcej praw, a może przywilejów?

Przewodniczący Lorenc aż się poderwał. I zaraz siadł, opanował się, jak przystało na osobę, której kłania się cała Nędza. — Czy ja mam więcej prawa od kogokolwiek? — woła. — Nie, nie mam. Spójrzcie za okno.

Rada wyjrzała za okno, deszcz nadal pada. Otulone w grube chustki kobiety sprzedają nie oskubane kury. Pod płotem, osłonięty gałęziami drzew, stoi rower.

— Widzicie ten rower? — pyta Lorenc. — Od lat starałem się o zakup roweru. A wiecie przecież, że mógłbym go kupić tu, w Nędzy, poza kolejnością, od kuchni. Ale wówczas, co by więc powiedziała? Aż strach pomyśleć, co by było, gdybym coś zakombinował z rowerem. Nie zakombinowałem. Kupiłem go w Jankowicach.

Stał Lorenc w kolejce, długa była, i kupił. A teraz, kiedy jedzie przez Nędzę — a wieś to niemala, liczy 3600 mieszkańców — może patrzeć i pod koła, i ludziom prosto w oczy.

— O, ludzie tu umieją patrzeć i w oczy, i na ręce — mówi Jan Wycisk, przewodniczący Komisji d/s Handlu i Zaopatrzenia przy Oddziale Spółdzielni, kandydat na radnego do GRN. — Ktoś się zabrudzi, po nim. Musi pożegnać się ze stanowiskiem. Tu, w Spółdzielni, dźwierz się władzę, dopóki ludzie ufają. Może nie zawsze tak było, ale dziś tak właśnie powinno być. Prezes został już wybrany inaczej, z naszej woli.

Prezes Hrebeniak z zadowoleniem: — No, owszem, nikt mnie nie przywiózł w teczce. Wybrano mnie w tajnym głosowaniu i maja osiemdziesiątego pierwszego. Pamiętacie, jak to wtedy demokracja szalała? Niechby ktoś spróbował coś sfalszować! Na dwudziestu siedmiu, dziewiętnastu głosowało na mnie.

— Ze mną było podobnie — opowiada dyrektor Wójcik. — Zostałem mianowany na wniosek Zarządu, zaaprobowany przez Radę i zatwierdzony przez prezesa Spółdzielni.

— Ale czy tacy ludzie, jak dyrektor Wójcik, jak prezes Hrebeniak albo jak nasz soltys Dzierżęga, nie powinni mieć więcej prawa do różnych rzeczy? — zastanawia się Agnieszka Mrozek,

# Góry we krwi

Ciąg dalszy ze str. 1

lą partii komunistycznej. Wszystkie te orientacje, pomimo różnic ideowo-programowych, były zbieżne w podstawowych celach: rozwijania ruchu oporu aż do przygotowania powstania zbrojnego i wyeliminowania Słowacji z wojny.

W końcu grudnia 1943 r., w wyniku „umowy bożonarodzeniowej” (porozumienie partii: narodowej, agrariuszy, socjaldemokratów i komunistów), utworzono Słowacką Radę Narodową, która uznała „osrodek wojskowy” (ppłk J. Golian mianowany przez Londyn) i jego przygotowania do walki. Plan zakładał dwa warianty wybuchu powstania: w zależności od sytuacji

na froncie wschodnim i w porozumieniu z Naczelnym Dowództwem Armii Czerwonej oraz w każdej sytuacji, gdyby Niemcy podjęli okupację Słowacji. O tych zamierzeniach poinformowano Londyn i Moskwę.

Trzeba podkreślić, że stosunki czechosłowacko-radzieckie były co najmniej dobre, jeśli nie serdeczne. W listopadzie 1943 roku E. Beneš odwiedził Moskwę, podpisał nowy układ z ZSRR (w którym np. określono zasady działań Armii Czerwonej w walkach wyzwolniczych na terytorium Czechosłowacji) i odbył rozmowy z K. Gottwaldem, czołowym przedstawicielem emigracji komunistycznej, co miało także istotne znaczenie dla kształtowania się atmosfery współpracy dwóch nurtów ruchu oporu. Dodajmy, że od 2 maja 1943 r. u boku Armii Czerwonej brała udział w walkach „brzońda czechosłowacka”, która 10 kwietnia

1944 r. została przekształcona w I Czechosłowacki Korpus Armijny. Latem tego roku osiągnął on stan ponad 16 tys. żołnierzy.

Rozwój sytuacji międzynarodowej w końcu 1943 r. i pierwszych miesiącach 1944 r. zaktywizował ruch oporu (także legalnej opozycji) w Słowacji. Od wiosny 1944 r. rozwinięte zostały działania partyzanckie. W czerwcu przebiły się na Słowację pierwsze grupy partyzantów radzieckich (także z udziałem Czechów, Słowaków i Polaków), zasilane zrzutami lotniczymi sprzętu i uzbrojenia. Akty dywersji, sabotażu i starcia zbrojne łączyły się z poważnymi nastrojami antyhitlerowskimi i antyrządowymi społeczeństwa. W tej sytuacji 12 sierpnia wprowadzono stan wyjątkowy, by spacyfikować nastroje i obezwładnić ruch oporu. Wywołało to odwrotny skutek i Niemcy zdecydowali się przenieść tu z Protektoratu Czech i Moraw własne wojska. Jednocześnie na polecenie ambasadora Rzeszy aresztowany został gen. Čatlos, minister spraw wojskowych „niepodległej” Słowacji. Po południu 29 sierpnia Niemcy ruszyli i zaczęli rozbrajać garnizony wojsk słowackich w zachodnim i środkowym okręgu wojskowym. Oznaczało to automatycznie „okoliczność” drugiego wariantu powstania.

Te wydarzenia rozgrywały się wśród zasadniczych zmian na froncie wschodnim. W wyniku działań wiosennych Armia Czerwona osiągnęła podstawy do „obejścia” łuku Karpat na południe i północ od tego łuku górskiego. Na południe, przez Prut, rozwijały na-

tarcie wojska II i III Frontu Ukraińskiego (od 20 sierpnia operacja jasko-kiszyniewska), zaś po północnej stronie Karpat, lewym brzegiem Dniestru — wojska I Frontu Ukraińskiego, które od 13 lipca wykonywały operację lwowsko-sandomierską. Pod ich naporem, po krwawych walkach, pękły dwa pasy niemieckiej obrony na wschód od Lwowa. 27 lipca miasto zostało oswoobodzone, a wojska przeszły do pościgu na kierunku Przemyśla (wyzwolony 27 lipca), Jarosławia i Rzeszowa (wyzwolony 2—3 sierpnia), zaś prawe skrzydło Frontu już 30 lipca forsowało Wisłę na północ i południe od Sandomierza i poszerzało przyczółek w łuku rzeki, „na wprost” od Baranowa Sandomierskiego.

Wyjątkowe tempo tych działań wynikało nie tylko z użycia dużej masy wojsk pancernych i szybkich, ale także z faktu włączenia się do walk oddziałów AK i BCh Obszaru nr 3 AK — Lwów (Okręg Lwowski) i Podokręgu Rzeszów (Okręg Krakowski) na których terenie poszczególne inspektoraty realizowały zadania planu „Burza”. Szczególną rolę w uchwyceniu przepraw na Sanie i Wiśle odegrały miejscowe oddziały AK oraz BCh, uczestniczące w walkach o wyzwolenie Tarnobrzega.

Działania na kierunku Wisły w rejonie Sandomierza znacznie wyprzedziły lewe skrzydło Frontu, które przesuwało się wzdłuż wzniesień Pogórza Karpackiego. Bliżej gór, podkarpacka rymna komunikacyjna, uchodziły na wschód roboty oddziału GA „Nordkrajnie”. Wojska I Armii Gwardii i 28



członkini Kola Gospodyń Wiejskich. — Na mój rozum, nie może być całkiem równych praw dla wszystkich, a to dlatego, że ludzie nie są sobie równi.

Sypnęły się głosy za i przeciw, aż je prezes Hrebieniak uciszył.

— No proszę, mieliśmy tu przykład różnego rozumienia prawa, sprawiedliwości, demokracji — mówi. — Jedni byli za tym, żeby nie naciągać prawa ze względu na czyjeś stanowiska, zasługi czy działalność. Inni uważali, że niektóre stanowiska, niektóre rodzaje działalności należy nagradzać szczególnymi prawami, jakimiś przywilejami.

Sołtys Dzierżęga: — Nie nagradzać!  
Głos: — Tu nie chodzi tylko o ludzi. Nie tylko ludzie, ale i niektóre miasta i wsie korzystają z większych praw, z przywilejów.

— Weźmy taki Rudnik — proponuje sołtys Dzierżęga. — Wieś z tradycjami, istnieje od 1283. Wygrali polski strajk w 1766. Chyba tylko wieś Miedonia może się z nim równać. Miedonia miała zaburzenia chłopskie w 1595 i w 1602. Opierając się na tradycji, Rudnik ma do wszystkiego większe prawa. Ma wyciornię i rozlewnię wód i piwa dla 36 wsi. Ma piekarnię dla całego dawnego powiatu. No i w ogóle ma, co chce.

— Co takiego mają? — pyta zadziornie Franciszek Polaczek, przewodniczący Komisji Obrót Rolny przy Spółdzielni. — Dzieje mają, owszem. Ale chleba wypiekają niewiele, bo zakalcowaty, ludzie nie chcą kupować. Wody mogliby robić 15 tysięcy litrów, robią osiem. Nie mają kapsli. A zaopatrzenie w środki produkcji, to nie daj Boże. W sklepie u Gertrudy Mikołajec widziałem 30 osek, 28 lemieszów. To zupełna nędza!

Sołtys Dzierżęga: — Tylko nie Nędza!  
Dyrektor Wójcik: — Towaru to tu jest więcej niż w Rudniku.

Sołtys Dzierżęga: — Nędza wygląda bogato, ludzie mają pieniądze. Wystarczy przejrzeć śmietniki. Jakie bogactwo ludzie wyrzucają!

Ktoś pyta, czy to zauważone w śmietnikach marnotrawstwo bierze się z nadmiaru towarów, z bogactwa Nędzy?

— To po prostu objawy psychologii braku — komentuje Ryszard Weiner, przewodniczący Rady Nadzorczej Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Raciborzu. — Niemal cyklicznie brakuje rzeczy podstawowych: pasty do zębów, sznurowadeł, ciastek z kremem, dobrej wędliny. Ludzie kupują na zapas. No i część tego, co sołtys nazywa bogactwem, idzie do śmietników. Będzie tak, dopóki nie zapewnimy stałego dopływu towarów.

— Widzę pewne wyjście. — Prezes Hrebieniak zawiesza głos, nachyla się do dyrektora Wójcika, mówi o czymś cicho. Po chwili kontynuuje głośno: — Szanowna Rado, w przyszłym tygodniu rzucamy na Nędzę pościel i bieliznę. Bez list, bo im większa ilość ograniczeń, tym większa możliwość kombinacji.

Niesmiały głos dyrektora Wójcika: — Listy MM muszą być.

— Jeśli listy MM muszą być, to niech wiesz w sklepach na widocznych miejscach.

— Mam propozycję, jeśli można, żeby nie tylko z pościelą dotrzeć do ludzi na wsi — mówi przewodniczący Ryszard Weiner. — Niech tam ludzie zobaczą nici, gumę do majtek, paczki, ciastka z kremem. Przecież to rzeczy bywają w Nędzy. Podobno sklep tekstylny dosłownie zawalony, a do pani Kaus była dostawa ciastek z Kuźni Raciborskiej!

Dyrektor Wójcik: — Pani Wróblowa tak się uwijała przy sprzedaży, że aż się rozchorowała.

— Trochę tego towaru, mogła odstąpić choćby Zawadzic. Niech tam nie mówią: O, Nędza!

Prezes Hrebieniak: — Na wszystkie wale rzucimy towar.

Nad głowami Rady Nadzorczej zawisła ręka sołtysa Dzierżęgi. Przewodniczący Lorenc udziela mu głosu: — Mów, Jerzy.

— Wysoka Rado, czy nam w Nędzy wstyd? — pyta sołtys. — Czy my kutwy? Powiem kilka słów o przeszłości Nędzy. Skąd ta nazwa? Nie z powietrza, a z życia się wzięła. Tu dawniej, rzeźwiście, była Nędza. Wszyscy mieli do niej równy start.

Dawniej, dziadowie Dzierżęgi zastanawiali się: jak przeżyć zimę, jak dożyć do przednówka? Dziś Dzierżęga domaga się wyjaśnienia: jak żyć dobrze, sprawiedliwie. Ile komu się należy praw, udziału we władzy? Między tamtym życiem, a obecnym tyle się zdarzyło! — Wydzwignęliśmy się z topieli nędzy i tylko pozostała nazwa: Nędza. Czy mamy ją zmienić? Niedaleko stąd jest wieś Niewola, stara wieś, stara polska nazwa tego, co tu się działo pod Niemcem.

Głos: — Ale Niemaszchleba zmieniono na Chlebowo.

— Zmienili — przytakuje Dzierżęga. — Bo może słabo gospodarowali i rzeczywiście krucho u nich było z chlebem. Nasza wieś, każdy to widzi, bogata, dostatnia. I dlatego nie wstyd nam starej nazwy. Nędza.

Oklaski. — To dopiero sołtys Nędzy!

Głos prezesa Hrebieniaka: — Nie jest u nas aż tak dobrze, żebyśmy nie mogli się czegoś nauczyć od Rudnika albo od Miedoni. Oni, na przykład, potrafili wybudować nowe szkoły. Ten strajk z 1766 był właśnie w polskiej szkole! Potrafili załatwić samorządnie wiele konfliktowych spraw. A tu?

Jest problem mostku na rzece Suminie. Włóczyka z Lysek napisał skargę do naczelnika Kowalczyka. Po co? Czy we wsi Sumina sami nie mogą załatwić sprawy mostku? Albo sprawa rynny, chyba w Babicach też trafiła do Urzędu.

Sklepowa Lidia Wydra: — Ludzie nie mają zaufania!

— Do kogo nie mają zaufania? Przecież to chodzi o zaufanie do samych siebie, do sąsiadów, do zebrania wiejskiego.

— Nie jest tak źle — stwierdza sołtys Dzierżęga. — Na zebraniach rozstrzygamy dziesiątki spraw. Jestem i lawnikiem Sądu Rejonowego, i członkiem Rady Spółdzielni Oszczędnościowo-Pożyczkowej, no i sekretarzuję tutejszej Radzie Nadzorczej — i wiem, jak jest. Wiem, jakie sprawy którejś chodzi.

Czasem, niby drobna rzecz — rynna, z której cieknie woda do ogródka sąsiada — wcale nie jest łatwa do rozstrzygnięcia. A mostek? To przecież poważna sprawa, kiedy maszyny, kombajny, a nie konne wozy mają przejechać przez ten mostek. — Gorzej jest z dzieleniem zapalki na czworo, czyli z dzieleniem tego, czego ciągle brakuje. Mam teraz kłopot z papiakami, ludzie się budują.

— A mówilem, żeby nie robić list, bo to nam nie daje — mówi prezes Hrebieniak. — Od czterdziestu lat staramy się o sprawiedliwy podział. Powołujemy komisje, rady. Zbieramy podpisy, dokumenty. Wylaniamy komisje do dzielenia — ale wedle jakich kryteriów?

Aniela Dudek, przewodnicząca KGW: — Odkąd jest reglamentacja, wszyscy chcą wszystkiego.

— Kiedy glebogryzarka albo ciągnik zostanie przydzielony — to okazuje się, że wszyscy oprócz tego, który glebogryzarkę albo ciągnik kupił, są niezadowoleni — kontynuuje prezes Hrebieniak. — I to jest właśnie ten drugi po demokracji problem, nurtujący nie tylko sołtysa Dzierżęga, ale i nas wszystkich: sprawiedliwość.

Dyrektor Wójcik: — Problem sprawiedliwego po-

działu. Bo jeśli wciąż nie wystarczają pieniądze, muszą być kolejki, listy, preferencje, dojeżdża, znajomości. Prezes powiedział, żeby pościel sprzedawać bez list. A więc decydować będzie miejsce w kolejce. Czy nie zrobimy wyjątku dla inwalidów, niedołączonych starców?

Ktoś z Zarządu Spółdzielni: — Zrobimy wyjątek.

Dyrektor Wójcik: — Znowu będzie rozgoryczenie.

— A dlaczego rozgoryczenie? — pyta prezes Hrebieniak. — Ktoś będzie zazdrościł inwalidom, starcom? Dochodzą jeszcze młode małżeństwa, nowożeńcy i ci z wypadków nadzwyczajnych; czyli bez list nie damy rady. I znowu niejasność reguł, rozchwianie norm, rozbitcie etosu pracy. To wszystko ugruntowuje przekonanie, że wszystko dokoła jest wątpliwe, niesprawiedliwe. Jeśli tak, to trzeba szarpać, brać co się da i jak się da.

— Czy to nie wstyd, że świadczona na Opiekę w przeliczeniu na mieszkańca Nędzy wynosi 91 groszy? — pyta Jan Wycisk kandydat na radnego i Terenowy Opiekun Społeczny. Nędza bogata, owszem, lecz w trzech miejscach, w trzech domach — bieda.

Zrobiło się na sali cicho. I — głos przewodniczącego PRON, Wenera Czogała:

— W sprawach wielkich, krajowych, potrafilismy się skrzyknąć, zjednoczyć. Musimy to samo zrobić w sprawach mniejszych; wiejskich. Pewnie — ta szarpanina w Nędzy bierze się i stąd, że przekonano nas wszystkich do równości — w braniu. Nie przekonano do równowagi w dawaniu. A tu widzimy robotnika z budowy zagranicznej w samochodzie, pod swoją willą. Widzimy kogoś, kto ma chody, kto, umie się urządzać, załatwić, zorganizować. I nam żal, zbiera w nas złość.

— Popieram cię Czogała! — mówi sołtys Dzierżęga. — Przecież my, tu nad Odrą, od wieków Polacy. Wszyscy, jak tu siedzimy — jesteśmy stąd. Nasi ojcowie, a i niejeden z nas, uczestniczyli w Powstaniach Śląskich. Daliśmy radę wielkim rzeczom, damy mniejszym.

Poruszenie na sali, ten i ów ścisła dłoń sołtysa, który wyciąga z kieszeni odznakę z orłem i napisem „sołtys”. Przypina tę odznakę do kłapy marynarki. — Zrozumiałem dziś więcej, niż wam się zdaje — mówi Dzierżęga. — Ale rozdziału trzech widel trójzębnych i pięciu kilogramów papiaków — uśmiecha się — ta rozmowa nie pomogła mi załatwić.

— Ja ci pomogę — zgłasza się Franciszek Polaczek.

Dyrektor Wójcik wpisuje do protokołu ostatnie zdanie. Kończy się posiedzenie Rady Nadzorczej Oddziału Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Nędzy.

— Na szczęście nie doszliśmy do pełnej zgodności — żartuje przewodniczący Rady, Lorenc.

— Czemu? — pyta z nutą żalu w głosie Alfons Szyra.

Przewodniczący (prawie pięć godzin wysiedział za stołem na jednym miejscu), prostując kark: — Bo czy jutro nie roznieśli się po Nędzy, że tu powstała klika? Ludzie jeszcze nie przywykli do dogadywania się, do jednego zdania. Trzeba ich do tego powoli, bez wstrząsów, przyzwyczaić.

Śmiech, przysuwanie krzesel do stołów, ustawionych w podkowę. Pożegnanie.

Wszyscy wychodzą na dwór. Przestało padać. Nie ma śladu po kobietach, które sprzedawały nie oskubane kury. Sołtys Nędzy, Dzierżęga, z polyskującą w kłapie odznaką idzie pewnie do domu. Mija go na rowerze przewodniczący Rady, Lorenc.

— Stuchaj Alfons! — wola sołtys. — Rozdział widel możemy odłożyć do sianokosów. Ale papiaki musimy rozdzielić jutro rano!

Michał Mońko

Armię zostały włączone (5 sierpnia) do nowo utworzonego IV Frontu Ukraińskiego, z zadaniem przechodzenia do lądowej obrony na wzniesieniach Pogorza Karpackiego, po uzyskaniu „wglądu ogniowego” w ciąg komunikacyjny Podkarpacia w dorzeczu Wisłoka i Sanu. Aż do ostatnich dni sierpnia trwały tu już tylko lokalne walki, mające na celu zdobycie dogodnych punktów terenowych do następnych operacji. Front stabilizował się w odległości około 30 km od granic Słowacji.

Miał to niewątpliwie wpływ na nasilenie się działań dywersyjno-partyzanckich i przygotowań powstaniowych. 4 sierpnia przedostali się na stronę radziecką: K. Smidke i ppłk J. Ferjenčík (przedstawiciel Słowackiej Rady Narodowej i z-ca ppłk. Gollana), przynosząc wiadomości o sytuacji w Słowacji oraz zarys planu powstania, w którym decydującą rolę przypadała dwóm dywizjom słowackim ze wschodniego okręgu wojskowego. Zajmowały one pozycje nad granicą: 1 dywizja (ppłk Markus) stała w Grahovecach i na Pogorzu Cerhovskim, a 2 — Przełęcz Dukieliska, a stąd na wschód rozciągnięta była 3 dywizja (ppłk Tatarko), zajmując Przełęcz Lupkowska. Miały one uchwycić wspomniane ogniwo komunikacyjne, przyjąć wojska radzieckie nadchodzące z terytorium Polski, a potem wspólnie z Niemcami. Takie były plany.

Akcja niemiecka w zachodniej i środkowej Słowacji zupełnie zaskoczyła wschodni okręg wojskowy! Płk Talski, który miał tu dowodzić akcją powstania, z grupą 38 samolotów poleciał na stronę radziecką w nocy z 30 na 31 sierpnia i szukał kontaktu z dowództwem radzieckim. Płk Markus ruszył z dywizją na pomoc zachodniej Słowacji, lecz został ogarnięty nad Hronem i rozbrojony, zaś ppłk Talerio

zabrał dywizję w Medzilaborcach, oczekując rozkazów, i tu zaskoczony przez Niemców, też dał się rozbroić. Z 24 tys. żołnierzy słowackich, ledwie około 1200 zbrnęło z bronią do powstania! Reszta została internowana i deportowana do obozów jenieckich w Rzeszy.

Tych szczegółów oczywiście dowództwo radzieckie nie знаło. Marszałek Koniew w nocy z 1 na 2 września powiadomił Stalina o wybuchu powstania, przekazując informacje płk. Talskiego m.in. o dyslokacji dywizji, których już nie było... Naczelne Dowództwo Armii Czerwonej monitorowane było o pomoc także przez rząd londyński, którego ambasador, Z. Firlinger, nalegał na akcję wojskową, podobnie jak K. Gottwald. 3 września dowództwo Frontu otrzymało dyrektywę podjęcia operacji w kierunku Przełęcz Dukielskiej i udzielenia pomocy powstaniu.

Operację przygotowano w ciągu pięciu dni! Uderzenie miało przeprowadzić 38 Armia w składzie: 52, 67 i 101 korp. piech., 4 korp. panc. gw., 26 korp. panc. „stalingradzki”, 1 korp. kawal. gw. i 1 Czechosłowacki Korpus Armijny. Były to jednostki o bardzo różnej wartości bojowej, posiadały najwyżej 50 proc. stanów oddziałów, a siły pancerne — tylko 40—50 proc. sprzętu, jednostki wyczerpane walkami od 18 lipca, toczonymi 280—320 km od zaplecza! Gen. K. Moskaleńko, dowódca 38 Armii, zapisał, że „rząd radziecki i Kwatery Główna postanowiły nacierać przez Karpaty, co nie było dogodnym w sensie wojskowym, niezbe-

dnym jednak z politycznego punktu widzenia” („Uderzenie za uderzeniem”, s. 408).

Plan operacji zakładał przełamanie niemieckiej obrony w pasie 8 km i uderzenia rozszerzające ten wylom oraz natarcie na głębokość do 100 km z bardzo wysokim tempem (średnio 20 km na dobę) w ciągu pięciu dni.

Założenie to uwzględniało współdziałanie dywizji słowackich na zapleczu obrony niemieckiej, która w momencie planowania operacji obejmowała 545 i 208 dyw. piech. z GA „Nordukraine”, elementy 24 korp. panc. w rejonie Jasła i 3 korp. panc. w okolicy Sanoka (wojska pancerne na skrzydłach obrony) oraz 8 dyw. panc. i 75 dyw. grenad. panc. w drugim pasie obrony.

Były to siły porównawczo niewielkie, ale rozlokowane w terenie idealnym do obrony. Ku Dukli bowiem wiedla właściwie jedna dobra droga, przecinająca trzy pasma wzgóżeń, w większości zalesionych na szczytach, wijąca się po zboczach stoków uprawnych o tarasowato ułożonych zagonach. Dojście do tej drogi blokowało Krosno.

8 września o godz. 3.45 zgrupowane w pasie natarcia 1517 dział rozpoczęło trwający 125 minut gwałtowny ogień na pozycje niemieckie. Współdziałały samoloty 2 Armii lotn., atakując główne pasy obrony: dwie równoległe pozycje okopów z punktami oporu na wzniesieniach, a wszystkie osłonięte polami minowymi, zaporaami przeciwpancernymi i z drutu kolczastego. Wzrost obrony było Krosno — opasane tran-

szami, otoczone polami minowymi, bronione dodatkowo przepływem Wisłoka i Lubatówki, przygotowane do obrony okrzężnej.

Po nawale artyleryjskiej ruszyło natarcie: prawoskrzydłowy 52 korp. poszedł do przodu, przeciął drogę Krosno-Jasło i podszedł pod to miasto na odległość 6—7 km, ale nie zablokował drogi Tarnów—Jasło—Zmigrod Nowy. Środkowy 101 korp. poszerzył ten wylom ku południowi i osiągnął rubież Bóbrki, omijając Krosno od zachodu. Lewoskrzydłowy 87 korp. uwikłał się w ciężkie walki o Krosno i niewiele osiągnął... W całodziennych walkach uzyskano tylko 6—12 km terenu, zamiaszt planowanych 20 km, i to na wąskim odcinku.

W nocy z 8 na 9 września zaczęła się utwora trwająca trzy doby. Wezbrały strumienie i rzeki, rozmiękły drogi, pola uprawne były nie do przebycia dla sprzętu, a przenikliwe zimno i wiatry osłabiły natarcie. Lotnictwo zostało zupełnie wyłączone z akcji, zaś oddziały zaopatrywane w amunicję z najwyższym trudem i w małych ilościach... Niemcy tymczasem umacniali obronę i uporczywie kontratakowali na prawe skrzydło wojsk radzieckich.

Operacja przechodziła w ciąg lokalnych, dramatycznych i krwawych bojów o wzgórza, poszczególne wsie, o doliny wśród wzniesień i odcinki dróg.

Dokończenie na str. 10

## KTO TO JEST?

**K**TO to jest? Na początku naszego stulecia wstąpił ochotniczo do armii rosyjskiej i uczył dzieci oficerów rysunku oraz gry na flecie. Kilka lat później pojechał do Monachium, gdzie oglądał klasyczne rzeźby greckie, ale zachwycał się cyrkami i operą, nade wszystko zaś — śmiesznymi i strasznymi zarazem lalkami w Bawarskim Muzeum Narodowym. Te lalki zapamiętał chyba na całe życie. W tym samym roku (1904) pojawił się w Paryżu, w którego pejzażu nie było jeszcze kubizmu, ale wyraziście już rysowała się kępą sylwetka Pabla Picassa.

Nad Sekwaną zadomowił się szybko: studiował trochę u pewnego akademika, wynalazł sobie pracownię w jakiejś oficynie, chadzał do Luwru, nawiązał kontakty ze środowiskiem artystycznym, wystawiał na „Salonie Jesiennym”, cieszącym się wtedy prestiżem u awangardy, uczestnicząc też w „Salonie Niezależnych”. Swoje analityczne rysunki tytułował tylko tak: „Relacje form” i „Badania objętości” — jak niejeden z polskich artystów pół wieku później własne dzieła.

W 1908 roku w jego pracowni pojawiło się dwóch panów: jeden nazywał się Leo Stein i był bratem słynnej Gertrudy, bogatym kolekcjonerem amerykańskim, czułym na uroki sztuki nowoczesnej, natomiast drugiego gościa znał już „cały Paryż”, a to z powodu namalowania przezeń tyle rewelacyjnych w polu sztuki, co wstrętnych z urody „Pani z Avignonu”. Stein kupił to i owo od gospodarza, natomiast Picasso z uwagą obserwował rzeźbiarską głowę, wykonaną przez naszego bohatera tak jakoś po prostu, lapidarnie, po inżyniersku — bardziej myślą, niż sercem. Oczywiście, panowie poszli sobie w końcu.

A rok czy dwa lata później — sprzeczne są ustalenia w literaturze przedmiotu — Picasso wystąpił z brązową „Głową kobiety”, uznaną z czasem za pierwszą rzeźbę kubistyczną. Też była prosta, lapidarna w formie...

Amerykańscy krytycy orzekną, że dziełami entuzjasty lalek bawarskich musiał inspirować się też inny wybitny twórca XX stulecia, Constantin Brancusi. Jego rzeźby z lat 1910—1912 wykazują bowiem pokrewieństwo z dziełami, które nasz nieznamy zrealizował w okresie 1906—1907. Ciekawe.

Kiedy wybuchła I wojna światowa, niedyskretny kandydat na oficera zgłosił się do ambasady rosyjskiej w Paryżu, prosząc o wcielenie go do armii. Spotkawszy się z odmową, poddyktowaną względami praktyczno-

-geograficznymi, pojechał do Londynu, skąd do Stanów Zjednoczonych wyprawiła artystę sama Helena Rubinstein, która wcześniej tak zachwycała się jego pracami, że zakupiła całą wystawę, pokazaną przezeń w Anglii.

W USA znano już rzeźbiarza co nieco — z głośnej manifestacji sztuki nowoczesnej pn. Armory Show, w której uczestniczył też Marcel Duchamp i wielu innych bohaterów zmagających o nową sztukę. Zamieszkał w Nowym Jorku, kreował swoje syntetyczne, wyrafinowane w formie postaci, posługując się gipsem, drewnem, później marmurem i ceramiką. Wystawiał, zbierał przychylnie recenzje. Pierwszą ekspozycję indywidualną na gruncie Nowego Świata miał w historycznej galerii „291” Alfreda Stieglitz’a, z którym zaprzyjaźniona była międzynarodówka awangardy, m.in. Francis Picabia, człowiek bogaty (zięć senatora francuskiego), a więc szczególnie dadaistyczny w tym środowisku, dotkniętym permanentną mizerną finansową. W tym właśnie nowojorskim lokalu przybył z Europy pokaz gipsowej wersji „Man in the Open Air”, który — nomen omen — faktycznie stoi dziś pod gołym niebem, tyle że ogródka przy Museum of Modern Art. No i jest z brązu.

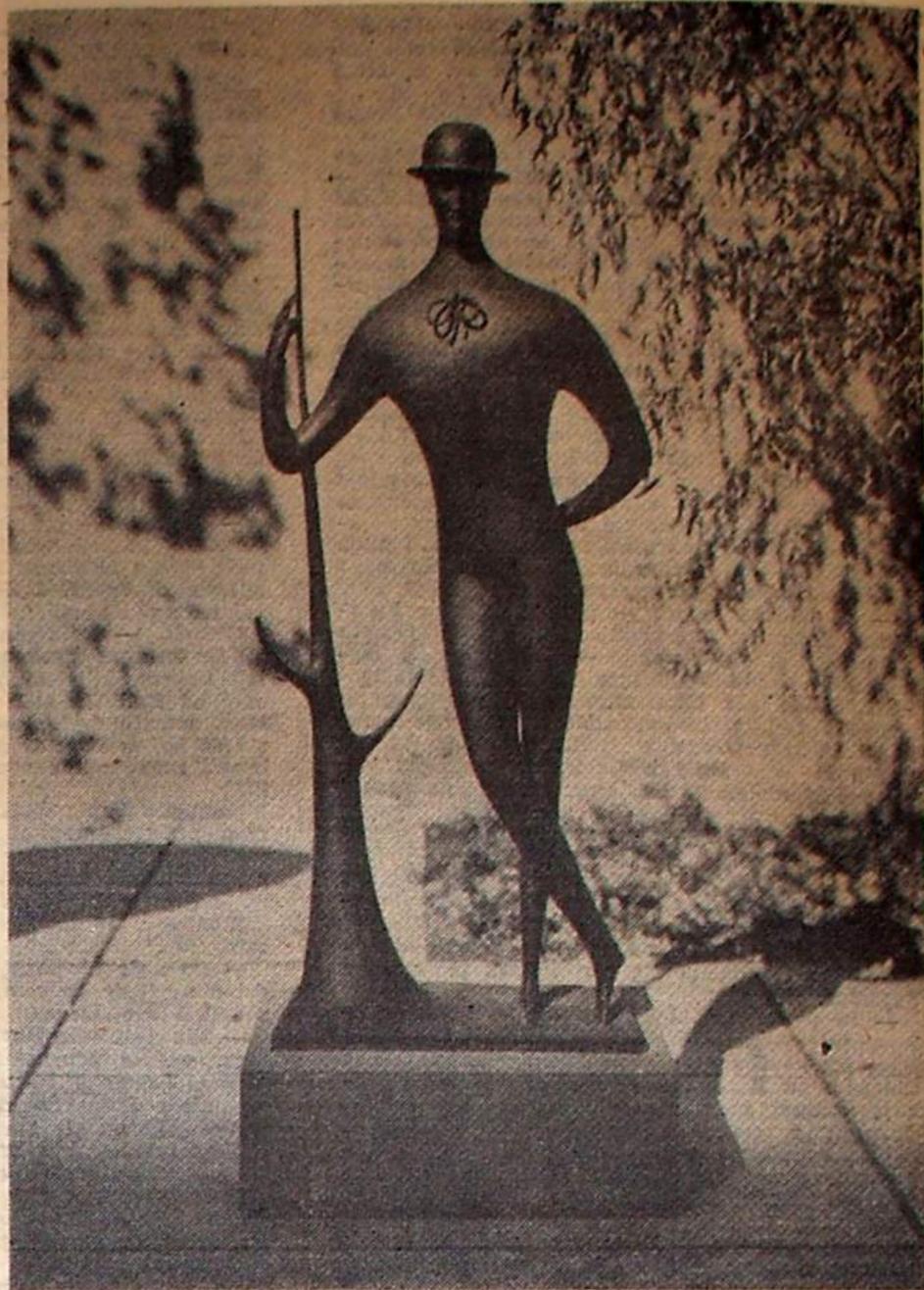
Przechodził jednak i ciężkie chwile. Oto na wystawie zorganizowanej na cele dobroczynne przez „a group society women” w 1917 roku cztery gipsowe figury artysty wzbudziły gniew publiczności, albowiem odziane były we współczesną odzież. Wyrzucono je z sali, pod presją prasy wstawiono ponownie, ale w końcu stłuczono.

Nieprzychylnie przyjęto też kolejną wystawę (1919 r.), na której pokazał m.in. „Woman at the Piano”, „Dancer”, „Orchestra Conductor” i „Host”. Żadna z tych rzeźb nie została sprzedana — aż do śmierci autora.

Pocięcha w tym, że był już człowiekiem zamożnym, posiadającym majątek Riverdale oraz prace w sześciu bodaj muzeach, no i wpływowych, świetnie sytuowanych przyjaciół.

W 1920 roku oszalał, rzec można, na punkcie sztuki ludowej. Wydał setki tysięcy dolarów, by zgromadzić imponującą zaiste kolekcję, którą ulokował w specjalnie wzniesionym przez siebie muzeum (sprzedanym zresztą z tym całym bogactwem w latach trzydziestych).

Pracował, wystawiał, podróżował do Europy, miał kłopoty materialne i lepsze okresy. Miał też świadomość znaczenia własnej twórczości dla inicjacji



„Man in the Open Air”, brąz, 1915; w nowojorskim The Museum of Modern Art. (Foto ze zbiorów IJK)

kubizmu, owej rewolucji w świecie sztuki.

Po roku 1930 zrezygnował z uczestnictwa w publicznym życiu sztuki. Zajmował się ceramiką, lepił w plasteinie małe figurki — lalki, utrwalane potem w gipsie.

Zmarł 28 grudnia 1946 roku.

Kto to był? Nie wiecie? Zrozumiałe, albowiem w żadnej z książek o sztuce XX wieku, jakie wydano w Polsce, nie znajdziecie państwo choćby akapitu poświęconego postaci Elie (Eliaza) Nadelmana. Tam „załatwia się”

go jednym — dwoma zdaniem, choć urodził się w Warszawie (20 lutego 1882 r.), tamże uczył się w gimnazjum i w Szkole Rysunkowej oraz okresowo uczęszczał do Szkoły Sztuk Pięknych, gdzie otrzymał podstawy warsztatu plastycznego.

No i dlatego publikuję ten tekst, oparty na materiałach z katalogu nowojorskiej wystawy Nadelmana (1975) i na informacjach Tadeusza Mysłowskiego, mieszkańca Long Island City.

IJK

## Góry we krwi

Dokończenie ze str. 9

W ciągu siedmiu dni, w pierwszym jej etapie, w wylomie szerokim na 20 km, zdobyto zaledwie 23 km w głąb obrony niemieckiej. Wyrównany został w tym czasie stosunek sił w piechocie, a w broni pancernej i artylerii Niemcy zyskali aż dwukrotną przewagę!

W drugiej fazie operacji, 15—26 września, gdy działania 38 Armii zostały poszerzone przez przejście do ofensywy, 1 Armii Gw. w rejonie Sanoka i Bieszczadów (co umożliwiło Niemcom przesuwanie odwodów), forsowano pasmo wzgórz: Grzywańska 566 — Polana 650 — Dania 694 — Hyrowsa 694 m n.p.m., ciągnących się na zachód od Przełęczy Dukielskiej. Po wielkiej bitwie pancernej 11 i 13 dyw. panc. z 26 korp. panc. w „dolinie śmierci” (12—14 września w rejonie Iwili), oddziały 1 Czechosłowackiego Korpusu Armijnego uderzyły na ruiny Dukli od północy i zdobyły ten węzeł drogowy. Doszły tu od wschodu ezolgi 4 korp. panc. i 29 września miejscowość była wolna.

Wyszło stąd kolejne uderzenie dwu korpusów pancernych główną drogą w

Przełęcz Dukielskiej, ku granicy. Linia frontu przesuwała się na grzbiet Karpat. Rozpoczęto forsowanie Przełęczy i kończył się drugi etap operacji.

Gen. Moskalenko przegrupował całość sił: 52 korp. bronil długiej pozycji na skrzydle od zachodu, zaś korpusy 67 i 101, zebrane w rejonie Hyrowsa-Barwinek, miały osłaniać frontalny atak 1 Czechosłowackiego KA i 359 dyw. piech. (wspartych przez całość sił pancernych) na ostatnich kilometry Przełęczy Dukielskiej i sforsować ufortyfikowany pas granicy. 27 września rozpoczęła się ostatnia faza walk na ziemiach polskich.

67 korp. zdobył Wilsznę i part przez lasy graniczne na Wyżynie Pisana, przekrzydlając od zachodu główne ugrupowanie niemieckie w Przełęczy. Po pięciu dobach walk korpus wdarł się do pierwszej słowackiej wsi 1 Czechosłowacki KA z 359 dyw. piech. zdobył południowy skraj Barwinka (wzniesienie 488 m) i południową część Zydranowej (szczyt Tokarnia 495 m). Było to nowe przekrzydlenie pozycji niemieckiej i w tej sytuacji w noc z 1 na 2 października nekła obrona pasa granicy. Niemcy cofnęli się o 3 km...

Od poranku 6 października walki przeniosły się na teren Słowacji. Zdobyty został Wyżni Komárnik, pierwsza miejscowość po południowej stronie Przełęczy Dukielskiej. Z bronią w ręku przekraczał tu granicę 1 Czechosłowacki Korpus Armijny i zaczęło się wyzwolenie Czechosłowacji.

Ostatnie walki 38 Armii toczyły się jeszcze 29 listopada, o osiągnięcie linii Ondavy, nad którą ustalizowano front aż do ofensywy styczniowej 1945.

Operacja dukielska w historii sztuki wojennej zajmuje szczególne miejsce, bowiem były to pierwsze ofensywne górskie walki Armii Czerwonej. Po raz pierwszy duże siły pancernie działały w górach, w niezwykle trudnych warunkach, przy złej pogodzie, w deszczach, mgłach, na straszliwym błocie karpaccich łąk kryjących osłizgłą wierzchnię skalną. Zwraca także uwagę użycie dużych zapasów środków walki i artylerii. W całej wojnie ojczyźnianej Związku Radzieckiego jest to jedyna operacja wykonywana siłami tylko jednej armii, a nie frontu, jak zazwyczaj nacierała Armia Czerwona. Straty ludzkie w proporcjach użytych wojsk były ogromne na skutek silnej i zdeterminowanej obrony oraz dużych zdolności manewrowych wojsk SS i Wehrmachtu. Inną przyczynę strat stanowiła słabość zaplecza, brak systematycznych uzupełnień, co powodowało ogromne wyczerpanie walką oddziałów pozostających w akcji na pierwszej linii.

Operacja nie osiągnęła głównego celu — połączenia się z powstańcami, bez-

pośredniego wsparcia ich działań, wyjścia strategicznego uderzenia Armii Czerwonej. Wciągnięto do walki pod Duklą dziewięć niemieckich dywizji (w tym trzy pancerne), co umożliwiło powstaniu przetrwania, wycofanie się w góry i kontynuację działań, aż do ofensywy styczniowej. Związanie tych sił Wehrmachtu ułatwiło wykonanie operacji wschodnio-karpacciej (uzogrodzkiej) przez wojska IV Frontu Ukraińskiego i wyzwolenie Rusi Podkarpacciej. Boje pod Duklą miały także strategiczne znaczenie dla walk o przyczółki nad Wisłą, a rozbiście 75, 357 i 168 dywizji piechoty oraz dotkliwe straty wszystkich dywizji pancernych (nawet do 70 procent stanów!), 545 dyw. piech. i 1 dyw. panc., wyeliminowały z walki te jednostki na kilka miesięcy.

I jeszcze jedno. Operacja podjęta została w sytuacji strategicznej wymuszonej przez nieoczekiwany wybuch powstania na Słowacji. Decyzja o przejściu do działań zaczepnych w rejonie Dukli, bez wystarczających sił i środków walki oraz zorganizowanego zaplecza, miała charakter polityczny, a jej skutki potwierdziły, że szanse powstań w latach II wojny były znikome wobec braku możliwości ich wsparcia przez zsynchronizowane działania regularnego frontu. Ta końcowa refleksja ma ogólniejszą wymowę dla trwających (nie tylko w historiografii) rozważań o strategii powstańców działających militarno-politycznie w latach II wojny światowej.

Mieczysław Wieliczko

# Naturyzm uprawia się dla siebie

— Czy jako Miss Polonia Natura '84 zdecydowały państwo podzielić się wrażeniami i refleksjami z VIII Zjazdu Naturystów, a przede wszystkim z wyborów Miss Nagości?

— Jako naturystka przywykłam, że mówi się do mnie po imieniu; szczególnie teraz powinnam zwracać uwagę na nasze zasady i zwyczaje. Skoro już mam wystąpić w roli miss naturystek, proszę mi mówić po imieniu — na imię mam Ela.

— Dziękuję, propozycję przyjmuję, tym bardziej, że ułatwi mi to szczerą i bezpośrednią rozmowę. Zaczniemy więc od początku: czy rzeczywiście udzieliłaś wywiadu?

— Jeszcze parę dni wcześniej nie pomyślałabym, że ktoś mi to zaproponuje. Dla jakiej gazety?

— Dla „Kamena”. Czy kiedykolwiek miałaś to pismo w ręku?

— Owszem, dociera czasami do Lubaczowa, gdzie mieszkam. Okazyjnie czytam „Kamena”, szczególnie, że lubię poezję.

— Nie o niej wszak chcę z tobą rozmawiać. Chciałabym na przykład wiedzieć, jak długo uprawiasz naturyzm?

— Od trzech lat.

— Miałas wtedy...

— 17 lat. A stało się to z powodu mojego obecnego chłopca, zapalonego naturysty.

— Obecnego? Można wiedzieć, ile ich już było?

— Ten jest trzecim i chyba ostatnim. W każdym razie życzylibym sobie tego.

— Trudno mi uciścić, że kochający chłopiec może pozwolić, by jego dziewczynę każdy mógł oglądać całkiem naga i to ze wszystkich stron.

— Ale jego też każdy mógł oglądać całkiem nago! I nie tylko jego i mnie, lecz setki i tysiące innych — na plaży było sześć tysięcy naturystów.

— Gdy się ginie w tłumie — zgoda. Ale ty stałaś wśród dwudziestki kandydatek do tytułu w tym celu, by cię oglądać, oceniać twoje nagie ciało. Stałaś jak na licytacji, wystawiona na sprzedaż...

— O nie! Nie na sprzedaż! Mnie nie obiecywano futer, małego fiata czy wyjazdu do Londynu. To była zabawa wśród swoich i dla swoich, takich samych nagusów jak ja, na którą przystałam w pełni świadoma jej charakteru i celów.

— Jakież one były?

— Przede wszystkim propagandowe. Na tego typu imprezy przyjeżdża zwykle bardzo wielu ciekawskich „tekstylnych”, których służba porządkowa na długo przed rozpoczęciem wyborów ostrzegala, że zostaną wyproszeni z naszej plaży, jeśli nie zdejmą kostiumów. Jak łatwo przewidzieć, większość się rozebrała. A jak wielu ich było tego roku, łatwo poznawało się po charakterystycznej opaleniznie. Jestem przekonana, że kto raz zobierze się na plażę, ten na zawsze pozostanie naturystą.

— Czy byś zatwierdziła „tekstylni”, których trzeba było wyprasać?

— Niestety, tak. Opuszczali oni plażę z zawiedzioną miną, że oto sensacja umknęła im sprzed nosa. A tak w ogóle to przyznam, że nie rozumiem „tekstylnych”.

— Ojót to! Nie rozumiesz „tekstylnych”, a sama chcesz, by oni toś rozumieli. Naturystki podnieśli niemały rozruch wokół sprawy eksmisji z Chalup...

— Nie rozumiem, ale szanuję ich poglądy i chciałabym, żeby oni szanowali nasze. A sprawa Chalup — jak twierdzi prezes Marczak — przysporzyła nam wielu zwolenników! Zresztą sama wierzę, że będzie ich coraz więcej.

— Będąc — jak widzę — świadomą, powiedz mi — zaangażowaną naturystką, działającą, że się jednocześnie tego wstydzisz.

— Skąd taki wniosek?

— Na każdym, bodaj już trzykrotnym, wyborach Miss Natura triumfatorce podają wzmianki i wobec tylko swoje imię, czasami okraszane nazwą miasta. I tak w ubiegłym roku Miss Polonia Natura '83 to Bożena ze Słupska, w tym roku Elżbieta z Lubaczowa. Dla mnie jest to dowód, że wstydzisz się swoich tytułów, ba! — całej waszej ideologii.

— To nie jest kwestia wstydu. Lecz bojaźni. Bojaźni przed nietolerancją i nieprzejednaniem. Anonimowość zapewnia nam bezpieczeństwo, spokój, stwarza zapórę przed obelgami i oszczerstwami czy choćby lekceważeniem ze strony przeciwników, wśród których przecież pracujemy, uczymy się. Ja na przykład zdaję wkrótce egzamin do Studium Kulturalno-Oświatowego i Bibliotekarstwa w Krośnie. Łatwo sobie wyobrazić wynik mojego egzaminu, gdyby w komisji zasiadali nieprzejednani „tekstylni”, a wynik wyborów poszedł w świat z moim imieniem i nazwiskiem.

— Mimo tych argumentów, obstają przy tym, że jest to dowód...

— ... że się wstydzę, kim jestem? Jeśli tak, to jednym zdaniem obalam



Fot. Mirosław Zarzycki

ten dowód. Nazywam się Elżbieta Czernysz. Proszę docenić to tym bardziej, że Lubaczów to małe miasteczko, a „Kamena” dociera tu przecież.

— Przyjmuję tę oślarę z premedytacją i szacunkiem, choć jedynie niebezpieczeństwo widzę w tym, że rodzice mogą przetrzepać miśosowską pupę.

— Rodzice oczywiście nie będą zachwyceni, choć od dawna wiedzą, że jestem naturystką i jak dotąd nie zgłaszali większych sprzeciwów, mimo iż sami nie są naturystami. Zresztą u nas tylko ludzie młodzi uprawiają naturyzm i to pokątnie, bo nie ma odpowiednich warunków.

— Młoda sylwetka, młode, jędrne ciało — jest się czym pochwalic na plaży, nie wie się czego wstydzic. Myślę właśnie, że to dobre dla was, a nie tych z brzuchami, faldami, smarzącymi.

— Naturyzm uprawia się dla siebie, nie dla innych. A że w grupie? Bo różnie, bezpieczniej i weselej, poza tym skąd wziąć tyle miejsc dla każdego z osobna, skoro dla tysięcy tegorocznych „zjazdowiczów” ze znalezieniem jednego miejsca był kłopot. Natomiast gdybym chciała się chwalić swoim ciałem, poszłabym nie na na-

turystyczną, a na „tekstylną” plażę — w szalowym, superskąpym kostiumie — lub na promenadę, w obcisłej, mocno wydekoltowanej bluzce i w spódniczce mini.

— Czy jako Miss Polonia Natura '84 spotkałaś jakieś propozycje zawodowe?

— Tak, wraz z moim chłopcem wzięłam udział w filmie o naturyzmie, pod roboczym tytułem „Adam i Ewa”. Produkcją WFO w Łodzi. Ponadto przyjąłabym propozycję paru fotografików: pozowania do aktów mających brać udział w konkursie „Człowiek i Natura” organizowanym przez PTN. Proponowano mi ponadto w miarę stałe zajęcie fotomodelki w wydawnictwie produkującym zdjęcia reklamowe, kalendarze ścienne itp. Lecz tę ofertę odrzuciłam.

— Dlaczego? Przecież wszystkie propozycje — jak rozumiem — polegały na pozowaniu nago.

— Jest jednak różnica. Pozując na łonie natury, na plaży — odgrywam rolę naturystki i czuję się nią, bo mam wokół drzewa, wodę, ptaki. Natomiast trudno o takie odczucia w innym otoczeniu; miałabym tam wrażenie, że moja nagość jest na pokaz lub może lepiej — na sprzedaż.

— A gdybym z przekory zaproponował ci zajęcie stripteaserki w ekskluzywnym lokalu?

— To jest dokładnie to samo: prezentowanie w określonym celu swojej nagości dla kogoś, dla widzów i z myślą o nich. Rozbijając się na plaży naturystycznej, nie mam dokoła ubranych widzów i nie robię tego dla nich i ze względu na nich.

— Ale przecież PTN zorganizowało niedawno bal naturystów w lokalu, gdzie naturystki się rozbiierały, a pozostali byli ubrani. Poza zarzutem kupczenia, gdyż robiły to one za darmo, nie ma dla mnie różnicy.

— Racja, dla mnie też. To był błąd propagandowy. Jeśli o mnie chodzi, ja bym się nie rozebrała w takiej sytuacji.

— A gdybym zorganizował strip-tease nie w lokalu, lecz w otoczeniu przyrody, powiedz mi na plaży?

— Jeśli bym miała wyłącznie nagą, naturystyczną widownię, może zrobiłabym to dla hecy.

— Wróćmy do wyborów. Czy Miss Polonia Natura '84 uważa swój tytuł za zasłużony?

— Tak. Zasłużony, ponieważ mam zgrabną sylwetkę i jestem całkiem mocno opalona. Pozostałe z dwudziestki konkurentek nie spełniały łącznie tych warunków. Niektóre były ładne i zgrabne, ale tylko częściowo opalone, ze śladami po kostiumie, a to był przecież konkurs dla naturystek, odważnych naturystek, gdyż na całej plaży było wiele wspaniałe opalonych dziewcząt, które jednak nie zdecydowały się wziąć udziału w konkursie, toteż drogę do tytułu miałam łatwiejszą. Ciekawostką było, że jury zbierało się dwukrotnie na naradę.

— Czy jurorzy wystąpili również nago?

— Oczywiście, jak wszyscy. W skład jury wchodził prezes oddziału PTN, w tym również oddziału lubelskiego, a więc doświadczony naturysta. Ponadto dziennikarze zajmujący się naturyzmem oraz przedstawiciel węgierskiego związku naturystów.

— A więc sami mężczyźni?

— Nie, była jedna jurorka, bowiem prezesem wrocławskiego oddziału PTN jest kobieta. Jak się dowiedziałam, to ona właśnie forsowała moją kandydaturę i usilnie przekonywała jurorów, by głosowali na mnie.

— Jakże stosować środki, by zyskać tak wspaniałą opaleniznę podczas tegorocznej, bardzo kapryśnej pogody?

— Naturystki opalają się szybko bez środków dopingowych. Systematyczne przebywanie na świeżym powietrzu przyzwyczajają chyba skórę do szybkie-

go wchłaniania promieni słonecznych. Poza tym startuje się z pewnego pulapu, nie od zera, pozostaje przecież ubiegłoroczna czy nawet wcześniejsza mocna opalenizna. Mnie wystarczyło kilka dni nad Bałtykiem.

— W jaki sposób przebiegały wybory? Były jakieś kryteria doboru kandydatek?

— Nie było żadnych wymogów z wyjątkiem dolnej granicy wieku — 18 lat — tak więc każda z obecnych na plaży pań miała prawo startu. Inna rzecz, że o wynikach miała decydować ładna sylwetka i opalenizna. Dla podkreślenia zabawowego charakteru imprezy jako pierwszą kandydatkę wytypowano pięcioletnią dziewczynkę. Wszystko w luźnej, serdecznej atmosferze. Werdykt przyjąłam z ogromną radością, lecz w chwili później — szok! Obstał mi tłum fotoreporterów, trzaski aparatów, szum kamer filmowych — poczułam się jak gwiazda, a do tej roli nie byłam przygotowana.

— Czy każdemu wolno było fotografować?

— W zasadzie tylko fotoreporterom z odpowiednimi plakietkami. Na plaży naturystycznej istnieje jednak zwyczaj, że osoba biorąca czynny udział w imprezie, np. w konkursie, staje się w pewnym sensie osobą publiczną, a zatem musi się liczyć, że będzie fotografowana. Natomiast w innych wypadkach należy prosić o zgodę osobę fotografowaną. Obecnie coraz rzadziej dochodzi do zgrzytów na tym tle. Na tegorocznym zjeździe nie było incydentów, natomiast jeszcze w ubiegłym roku w Chalupach spotkało się podstępnych filmowców z teleobiektywami, którzy, niestety, musieli rozbroić kamery i oddać filmy, a pewien jego-ność ładował w falach Bałtyku wraz ze swym aparatem, gdyż filmu oddać nie chciał.

— Czy były salwy armatnie na cześć nowej królowej?

— Były, lecz z szampana, następnie, po symbolicznym zanurzeniu w Bałtyku — wspaniała przejażdżka statkiem po morzu, a po wylądowaniu — kwesta wszystkich kandydatek na rzecz sierot. Nie była to praca lekka, gdyż na plaży znajdowało się kilka tysięcy naturystów. Ta kandydatka, która zdołała zebrać najwięcej pieniędzy, została ogłoszona Miss Publiczności. Ogółem zebraliśmy blisko 30 tysięcy złotych.

— Tania propaganda. Sądzę, iż w ogóle naturystki robią zbyt dużo szumu wokół siebie, zbyt wiele szukają reklamy, jakby chcieli wojować wszystkie plaże.

— To jest odruch samoobrony względem tych, którzy nas atakują nie znając jednocześnie to szukanie miejsca dla siebie, a nie wojowanie. Przez takie imprezy, jak Konkurs Miss Nagości — być może przereklamowany — chcemy pokazać, że istniejemy i jest nas dużo, że umiemy się bawić, że nikomu ani niczemu nie zagrażamy, nie wadzimy. Jestem ogromnie ciekawa, w jaki sposób mogłabym zaszkodzić komukolwiek przez fakt, że jestem naturystką?!

— Lubelscy naturystki mają również zorganizować własne regionalne wybory Miss Lubelszczyzny Natura '84. Czy jako pozycję obronną należałoby rozumieć sens tej imprezy?

— Proszę pamiętać, że jest to ponadto doskonała zabawa. O planowanym konkursie wiem, gdyż otrzymałam zaproszenie od lubelskiego PTN do wzięcia udziału w uroczystościach koronacji. Może przyjadę, mimo iż — jak czytałam — wszystkie naturystki mają być utopione w Wiśle przez miejscowych purytanów. Wierzę jednak, że do tego nie dojdzie i życzę uczestnikom imprezy powodzenia i udanej pogody.

— A ja tobie — szczęśliwego panowania w naturystycznym królestwie.

Rozmawiał: Mirosław Zarzycki

# WANDA rockowy pajak

Istvan Grabowski

**W**ANDA Kwietniewska śpiewa „Kochaj mnie, kochaj, miły”, a kilka tysięcy nastolatków wiatuje na jej cześć. Obserwatorzy koncertu nie są zdziwieni, ani zaskoczeni reakcjami młodzieży. W ich przekonaniu wokalistka jest jedną z nielicznych postaci rodzimej estrady, zdolną ściągnąć na występ tłumy fanów. Nie wszystkim się to teraz udaje, mimo pomyslnie hussy rocka.

Wanda zna dobrze swoje rzemiosło. Jest taka, jak jej muzyka — żywa, dynamiczna, impulsywna. Przez cały czas recytatu tańczy, co niejednemu wprawia w zdumienie, skąd u tak drobniutkiej istoty tyle energii. Wielka ruchliwość estradowa sprawiła, że nazywają ją „kobietą-pajakiem”. Jak można przypuszczać, każda trasa koncertowa poprzedzona jest solidnym treningiem przed lustrem. Weryfikowane są wtedy nie tylko nowe kostiumy, ale miny, pozy, grepsy. Rock stawia wykonawcy spore wymagania i Wanda stara się je spełnić. Dziś czyni to o wiele lepiej, niż przed dwoma laty.

Po dramatycznym rozstaniu z Lombardem (październik 1982) mało kto wierzył w możliwość jej powrotu na scenę. Przeciwności było mnóstwo. Największą stanowił brak repertuaru oraz zespołu akompaniującego. A wiadomo, w pojedynkę niewiele można działać. Wanda była jednak uparta. Jakby na przekór wszystkim chciała pokazać, że sprosta wyzwaniu. Niezmordowana podróżowała po kraju, przestuchiwala wielu muzyków, aż dopięła swego.

W ciągu dwóch miesięcy zdołała sformować własną grupę Banda i Wanda i nadszkiekować program. Jego charakter określały już pierwsze nagrania: „Fabryka marzeń” i „Cala biała”, zrealizowane w krakowskim studiu Teatru STO. Był to heavy metal rock w damskim wydaniu. Instrumentaliści zasilał formację Wandy (Marek Radul, Jacek Krzaklewski, Henryk Baron i Andrzej Tylicz) z niejednego pieca chleb jadali. Wiedzieli więc doskonale, co i jak należy zagrać, by poczynania solistki zyskały aprobatę publiczności.

Niepomyślna, zdawało się karta odwrócona została w kilka miesięcy. Tyle bowiem czasu potrzebowała Kwietniewska na zyskanie sympatii młodzieży. Pomogli jej w tym wydanie radio i telewizja, ale trudno nie dostrzec ogromnego wkładu pracy piosenkarki. Do tworzenia zapisu własnych osiągnięć estradowych przystąpiła praktycznie od zera. Dzięki wytrwałości i zapale zdołała pokonać tremę, chwile zwątpienia, nieufności słuchaczy i uprzedzenia promotorów. Nawet w najtrudniejszych momentach (a było ich wiele) Wanda nie poddała się.

Umiejętność śpiewania rocka odkryła w sobie dosyć późno. Po ukończeniu studium estradowego dla piosenkarzy, działającego pod auspicjami Estrady Poznańskiej, trafiła do kwartetu Vist (razem z Małgorzatą Ostrowską, Grzegorzem Stróńnikiem i Andrzejem Sobolewskim). Zespół ten nie miał

sprecyzowanego charakteru. Wykonywał na co dzień muzykę popularną w szerokim rozumieniu tego słowa i z braku oryginalnego programu towarzyszył w nagraniach gwiazdom lub startował w tzw. składankach i imprezach czwartoligowych.

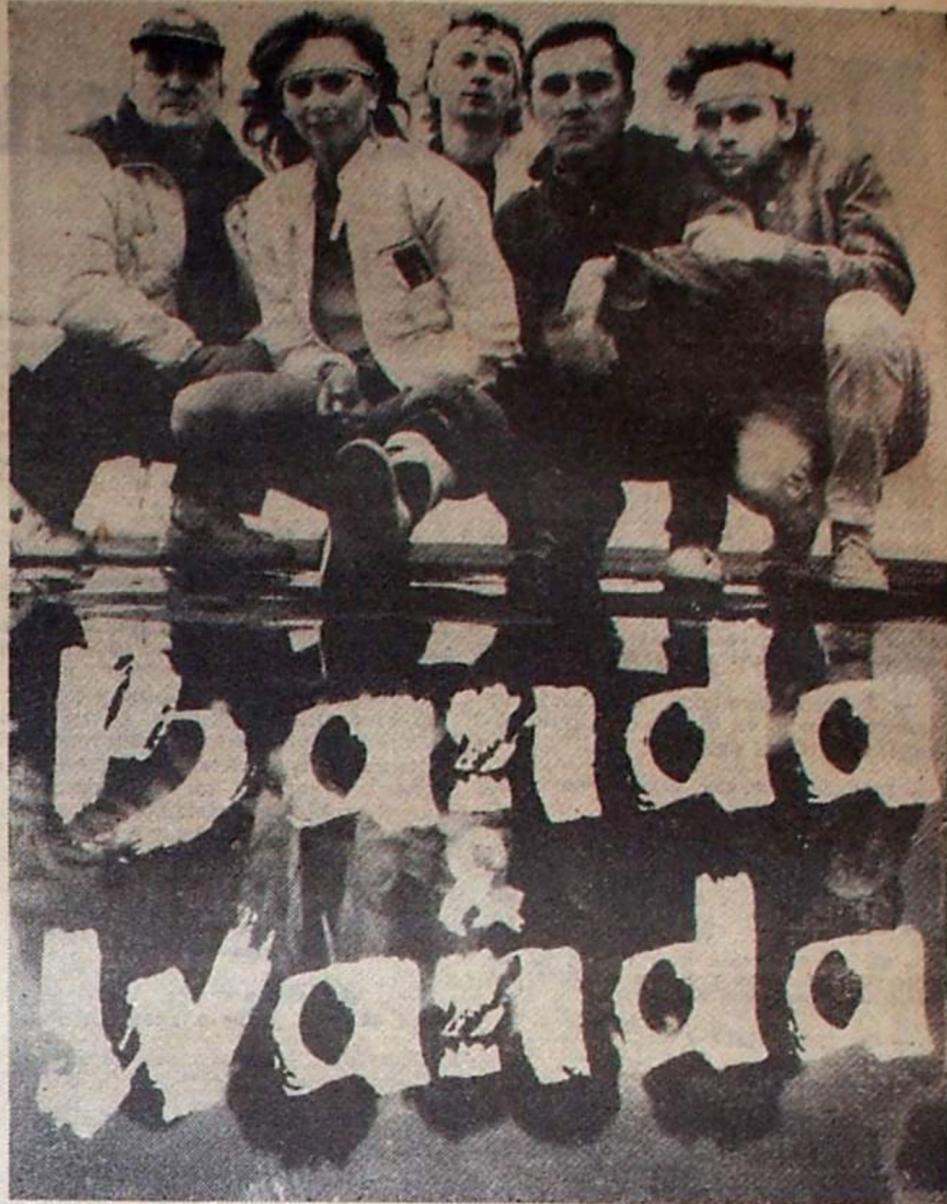
W maju 1981 roku Vist przerodził się w Lombard i Kwietniewska wstąpiła z kolegami w zupełnie inny od dotychczasowych doświadczeń świat. Uczyla się go powoli, lecz skutecznie. Z Lombardem zaczęła śpiewać barwne utwory pop-rockowe. To właśnie jej głos słyszeliśmy w debiutanckim utworze zespołu — „Bez zysków bez strat” (wrzesień 1981). Później śpiewała solo: „Dworzec pełen snów”, „O leden dreszcz”, „Express do nieba”, „Koszmarną kołysankę” i „Na skróty do piekła”. Pod szyldem Lombardu nagrywała longplay „Śmierć dyskotece” nagrodzony później Złotą Płytą.

Początkowe sukcesy grupy dopingowały do pracy, ale z czasem atmosfera stawała się coraz trudniejsza. Niezdrowa rywalizacja o każdą piosenkę, każda solówka była powodem wielu zadrążeń. Czary gorczy dopełniły niesnaski na tle stylizacyjnym grupy i Wanda nieoczekiwanie znalazła się „za burtą”. Toteż podjęła w szybkim tempie samodzielną, trzeba przyznać atrakcyjną brzmieniowo, działalność świadcząc może o pomysłowości i sile przebiecia wokalistki.

W nowej grupie mogła być sobą, bez konieczności czynienia kompromisów. Mogła wreszcie wykonywać muzykę, która, jak się okazało, czuła i rozumiała. Entuzjastyczne przyjęcie piosenek „Stylowe ramy”, „Hi-Fi”, „Nie będę Julia” i „Chcę zapomnieć” przekonywało nawet niedowiarków, że startująca grupa Kwietniewskiej ma szansę szybkiego dotarcia do czołówki rockowej kraju. Na potwierdzenie prognoz Banda i Wanda wzięła udział w realizacji serialu telewizyjnego „Siedem życzeń” według scenariusza Macieja Zembatego. Do tego filmu zarejestrowała dziewięć piosenek Johna Portera we własnej, oryginalnej aranżacji.

Uzupełnieniem stosunkowo krótkiej jeszcze przygody Bandy i Wandy jest duża płyta „Polskich Nagrań”, zmontowana z utworów zarejestrowanych wcześniej dla radia. Płyta ukazała się przed kilkoma miesiącami, wzbudzając zrozumiałe zainteresowanie. Obok znanych z anteny przebojów znalazły się na niej także udane premiery — „6.22”, „Bilet na dno”, „Zgrzywa”, „Począł pantofołowa” i „Do szpiku kości”, oddające nieźle charakter uprawianej przez zespół muzyki. Wanda wystąpiła w podwójnej roli — ekspresyjnej wokalistki i kompozytorki pięciu piosenek. Znak to widomy znaczących przeobrażeń artystycznych Kwietniewskiej, która z roli drugoplanowej wokalistki przeszła na pozycję świadomej cełu solistki i liderki kreuującej dojrzałą muzyczną osobowość.

„Moje zachowanie estradowe — mówi Wanda — podyktowane jest brzmieniem, nastrojem i tempem wykonywanej muzyki.



Fot. Jacek Kulm

Fascynuje mnie ognisty heavy rock i robię wszystko, aby przekonać o tym słuchaczy. Udaje mi się nawet nieźle. Uwzględniłem, że każdy szanujący siebie i publiczność wykonawca musi być wewnętrznie przekonany do tego, co robi. W przeciwnym bowiem razie publiczność szybko wyczuje fałsz i poczuje się oszukana. Koncert, zamiast bawić, staje się nudny. A wszystko przez to, że brak mu autentyzmu. Rock jest muzyką radości życia, więc siła rzeczy musi być podany w spontanicznej, poruszającej odbiorcę formie. Staramy się z kolegami, aby nasze piosenki były wesołe, rozhuśtane, try-

skające optymizmem. Nie imponują mi nihilistyczne postawy punktów, ani defetystyczne programy. W moim przekonaniu, koncert powinien rozładowywać napięcia, a nie potęgować je, powinien wyrwalać skrywane emocje”.  
Jak naprawdę wyglądają koncerty Bandy i Wandy, warto przekonać się samemu, tym bardziej że nadarza się ku temu okazja. Niebawem popularna wokalistka zaprezentuje nowy program lubelskim fanom. Organizatorem jej recitali będzie Lubelski Córdek Tanceczny, któremu zawdzięczamy m.in. czerwcowe koncerty Lady Pank.

## Krzyżówka nr 19

## Szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści pisarza, którego imię, inicjał drugiego imienia i nazwisko utworza pierwsze litery 16 początkowych wyrazów pomocniczych. Pojedyncze czarne kratki odpowiadają przerwom między słowami, a podwójne między zdaniami lub wielokropkami po skróceniu cytatu.

### Wyrazy pomocnicze

1. poeta okresu międzywojennego — 95, 168, 5, 121, 164, 19, 22.
2. znawca piekna — 96, 115, 99, 17, 66, 37.
3. kolekcjoner dwa elementy metalowe obracające się na nim — 71, 163, 123, 129, 69, 33, 104.
4. miasto, pod którym leży Tum — 74, 153, 156, 41, 29, 126, 67.
5. słynny włoski reżyser filmowy — 12, 68, 26, 39, 169, 152, 78, 11, 7.
6. na chusteczce pomagają pamięci — 8, 99, 157, 121, 3, 136, 90.
7. np. Lublin — 34, 146, 143, 151, 14, 112.
8. brak aktywności — 52, 71, 138, 36, 56, 25, 162, 6.
9. wchodzi w skład stopu drukarskiego — 44, 97, 20, 161, 1, 33, 82.
10. kieruje ruchem elementów silnika — 100, 133, 21, 58, 124, 46, 119.
11. przenosi go kołniską nawóz — 148, 117, 137, 59, 118.
12. tytuł kardynała — 94, 26, 2, 89, 65, 130, 60, 45, 48.
13. transport i jego środki — 108, 114, 24, 4, 18, 15, 47, 102, 125.
14. praktykant, czasem z nakazu — 105, 116, 135, 75, 53, 144, 77, 73.
15. był stolica Polski — 106, 123, 128, 145, 154, 84.
16. skrzynie z oknami w ogrodzie — 62, 43, 147, 141, 76, 61, 166, 42.
17. kanuści — 57, 143, 107, 139.
18. harcerskie walki — 118, 81, 31, 49, 32, 9, 50, 149.
19. szuka kopalni — 132, 109, 120, 86, 92, 49.
20. mowa wiązana — 63, 39, 59, 127, 10, 69.
21. szewska forma — 87, 83, 35, 51, 54, 13.
22. kłopska gleba — 70, 27, 149, 79, 93.
23. zdrowotny jadtospis — 113, 82, 91, 18, 103.
24. na niej elektrownia w Porabce — 159, 84, 109, 185.
25. wieś pod Babią Górą — 111, 23, 155, 101, 134, 85.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231 30-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy za 500 zł.

Rozwiązanie krzyżówki nr 17 szyfrogramu literackiego.  
„Zapytałem raz pewną czarną pannę, czy ma coś przeciwko wiołożeństwu. — Wprost przeciwnie — odrzekła. — Jest przynajmniej z kim porozmawiać, bo o czym tu rozmawiać z mezczyznami.”

Mirosław Żulawski  
Ucieczka do Afryki  
Nagrodę otrzymuje Cezary Olszajka, ul. Dąbrówki 2 m. 18, 09-400 Płock.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14			
15		16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	
		30	31		32	33	34	35	36	37		38	39	40	41	42
43	44	45	46	47		48		49	50	51	52	53		54	55	
56		57	58	59	60	61	62		63	64	65	66	67		68	69
70	71	72	73	74		75	76		77	78	79	80	81	82	83	
84	85	86	87	88		89	90	91		92		93	94	95	96	97
98		99	100	101	102	103	104	105	106	107		108	109	110	111	
112		113	114	115	116	117	118		119	120		121	122	123	124	125
	126	127	128	129	130	131	132	133		134	135	136	137	138		139
140		141	142	143	144	145	146		147	148	149	150		151	152	153
	154	155	156	157	158	159	160	161		162	163	164	165	166		

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.  
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych zastrzegając sobie skróty w sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14-18.  
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 553-38.  
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PEWN w Lublinie, ul. Unicka 4.  
Adres redakcji: 20-030 Lublin, ul. Skłodowskiej 17.  
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 455-93, sekretarz redakcji 458-93, dział publicystyki i literacki 475-35.  
Korespondencje rękopiśmienne przysyłać pod adresem 20-030 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowo — pod adresem redakcji.